

Nr 3 (124) – B Rok 21

Maj-Czerwiec 2015



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

Wołanie z Wołynia

Воляння з Волині

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляння з Волині*
Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka
pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

Redaktor naczelny: ks. Vitold-Yosif Kovaliv.

Redakcja: Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka,
ks. Grzegorz Draus, ks. Józef Kozłowski, Ludmiła Poliszczuk,
ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Кардашевича, 1
35800 м. Остріг, Рівненська обл.
Україна
☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38
E-mail: vykovaliv@gmail.com
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>
Świadectwo rejestracji: RW nr 187
z 15 maja 1997 r.
ISSN 1429-4109

Adres oddziału redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek

“Wołanie z Wołynia”

PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

~ ~ ~

“**Wołyński Słownik Biograficzny**”:

<http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/>

„**Dziennik pisany nad Horyniem**”

<https://ostrog.blox.pl/>

Jesteśmy na Facebook’u:

<https://www.facebook.com/Wolanie>

17 czerwca 2010-2015 - 105. rocznica urodzin Sługi Bożego
o. Serafina Kaszuby, kapłana z Zakonu OO. Kapucynów



SPIS TREŚCI

- s. 3-4: *„Stójcie niewzruszenie i trzymajcie się tradycji”*
Kazimierz SZALATA, *Majowa sesja Szkoły Katedralnej
UO UKSW. Pod patronatem Rektora UKSW
i Biskupa Łuckiego*
- s. 5-6: *Modlitwa o beatyfikację Sługi Bożego o. Serafina Kaszuby*
Ks. Witold-Yosif KOVALIV, *„Poziomka wskazuje
Drogę Śmierci”. Modlitwa w Bykowni*
- s. 7: *Modlitwa o beatyfikację Sługi Bożego o. Serafina Kaszuby*
Ks. Witold-Yosif KOVALIV, *„Poziomka wskazuje
Drogę Śmierci”. Modlitwa w Bykowni*
- s. 8-10: *Modlitwa o beatyfikację Sługi Bożego o. Serafina Kaszuby*
Ks. Witold-Yosif KOVALIV, *„Poziomka wskazuje
Drogę Śmierci”. Modlitwa w Bykowni*
- s. 11-18: *O przyjaźni i ks. Bukowińskim w Toruniu*
Andrzej ŻARCZYŃSKI, *Wystawa w Łodzi „Wołyń 1943.
Woląją z grobów, których nie ma”*
- s. 19-24: *Władysław MILCZAREK, Prawosławny krzyżyk*
Maria KALAS, *Szkice polsko-żydowskie*
- s. 25-31: *Władysław MILCZAREK, Prawosławny krzyżyk*
Maria KALAS, *Szkice polsko-żydowskie*
- s. 32-42: *Władysław MILCZAREK, Prawosławny krzyżyk*
Maria KALAS, *Szkice polsko-żydowskie*
- s. 43-45: *Władysław MILCZAREK, Prawosławny krzyżyk*
Maria KALAS, *Szkice polsko-żydowskie*
- s. 46-48: *Władysław MILCZAREK, Prawosławny krzyżyk*
Maria KALAS, *Szkice polsko-żydowskie*
- s. 46-48: *Krzysztof Rafał PROKOP, Cyryl Lubowidzki 1897-1898*



Ж життя Косціола на Воїнуі - З життя Церкви на Воїні

„STÓJCIE NIEWZRUSZENIE I TRZYMAJCIE SIĘ TRADYCJI”

W sobotę 30 maja 2015 r. w łuckiej katedrze świętych Apostołów Piotra i Pawła odbyły się uroczystości jubileuszowe z okazji 25-lecia święceń kapłańskich Księdza Biskupa Witalisa Skomarowskiego, ordynariusza diecezji łuckiej.

W celebracji liturgicznej, której przewodniczył biskup-jubilat, współuczestniczyli także hierarchowie: bp Antoni Dziemianko, biskup piński (Białoruś), biskup-emeryt Marian Buczek, bp Stanisław Szyrokoradiuk, ordynariusz charkowsko-zaporoski, bp Radosław Zmitrowicz, biskup pomocniczy kamieniecko-podolski, bp Jozafat Howera, egzarcha łucki Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego, a także obecny był abp Michał, metropolita łucki i wołyński Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Kijowskiego. Koncelebrowali Mszę Świętą liczni kapłani diecezji oraz przybyli z Hrubieszowa dawny przyjaciel diecezji Łuckiej ks. prałat płk Andrzej Puzon.

W uroczystościach uczestniczyli też przedstawiciele korpusu dyplomatycznego Rzeczypospolitej Polski: p. Beata Brzywczy, Konsul Generalny RP w Łucku, p. Krzysztof Świderek, Konsul Generalny RP w Winnicy, oraz konsulowie z Łucka – p. Krzysztof Sawicki i p. Dorota Dmuchowska. Władze lokalne reprezentował gubernator obwodu wołyńskiego p. Wołodmyr Hunczyk oraz szef wydziału ds. religii p. Wołodmyr Doroszenko.

W świętowaniu jubileuszowym wzięli udział również zaproszeni goście z Otwocka – siostry Benedyktynki Misjonarki, na czele z s. Martyną Wysocką, Przełożoną Generalną Zgromadze-



**Bp Witalij Skomarowski podczas
25. lecia święceń kapłańskich**

Fot. Ludmiła Poliszczuk

nia, z Chełma – p. Krzysztof Krzywiński, Prezes Stowarzyszenia „Kresy. Pamięć i Przyszłość”, a Konferencję Przełożonych Generalnych Zgromadzeń Męskich i Żeńskich na Ukrainie reprezentowała jej Przewodnicząca – s. Anna Klipacka. W ofierze Mszy Świętej wzięli również udział parafianie katedry.

Homilię wygłosił ks. kan. Władysław Czajka, dziekan rówieński. W prostych, aczkolwiek bardzo starannie i poprawnie wypowiedzianych słowach w języku ukraińskim, ksiądz dziekan w kilku ujęciach przedstawił biografię biskupa-jubilata omawiając wielkie znaczenie kapłaństwa i kapłanów zwłaszcza dla ziemi wołyńskiej. Kaznodzieja skupił się na posłuszeństwie słowom Chrystusa skie-



Ks. kan. Władysław Czajka wygłasza okolicznościowe kazanie

Fot. <http://catholic.volyn.ua/>

rowanym do apostołów w Wieczerniku, przedstawiając kapłaństwo, jako „sakrament czynu”, realizujący się w „czynieniu tego, co Chrystus” i „składaniu samego siebie w ofierze”, kładąc też akcent na trwaniu w miłości Chrystusowej, bez której wszystkie wysiłki kapłana skazane są na niepowodzenie. Jako przykład wierności – tej, aż do wylania krwi – przywołał ks. W. Czajka sylwetki Sługi Bożego biskupa Piotra Adolfa Szelażka i wielu kapłanów diecezji łuckiej, którzy niezachwianie służyli Kościołowi Chrystusowemu w czasach bolszewickiego ucisku. Na zakończenie ksiądz dziekan przytoczył słowa psalmu 139 o przenikającej wszystko i wszechobejmującej obecności i wiedzy Boga, która przedziwną i niepojętą jest dla człowieka:

*„Panie, przenikasz i znasz mnie,
Ty wiesz, kiedy siadam i wstaje.
Z daleka przenikasz moje zamysły,
widzisz moje działanie i mój spoczynek
i wszystkie moje drogi są Ci znane.
Choć jeszcze nie ma słowa na języku:
Ty, Panie, już znasz je w całości.
Ty ogarniasz mnie zewsząd
i kładziesz na mnie swą rękę.
Zbyt dziwna jest dla mnie Twa wiedza,*

zbyt wzniosła: nie mogę jej pojąć”.

Możemy jedynie wznieść błaganie „*Veni Sancte Spiritus!*”, aby sam Duch Święty wlał w nasze serca poznanie tego, co boskie.

Po uroczystym błogosławieństwie zaproszeni goście oraz najmłodszy parafianie złożyli swoje życzenia jubilatowi.

Materiał zaczerpnięto ze strony internetowej Kurii Diecezji Łuckiej <http://catholic.volyn.ua/>



„Maryjo, ratuj Ukrainę” – fragment dekoracji katedry łuckiej

Fot. Ludmiła Poliszczuk



З життя Коścioła на Волині - З життя Церкви на Волині

MAJOWA SESJA SZKOŁY KATEDRALNEJ UO UKSW POD PATRONATEM REKTORA UKSW I BISKUPA ŁUCKIEGO

W niedzielę 17 maja 2015 r. odbyła się kolejna sesja Szkoły Katedralnej UO UKSW w Łucku na Ukrainie.

Spotkanie rozpoczęło się od Mszy św. w katedrze świętych Apostołów Piotra i Pawła, którą odprawił Dziekan Wydziału Nauk o Rodzinie UKSW ks. prof. Mieczysław Ozorowski. Tym razem łuckie kolokwium organizowane przez Uniwersytet Otwarty UKSW we współpracy ze Stowarzyszeniem Lekarzy Polskiego Pochodzenia na Wołyniu oraz Diecezją Wołyńską miało wyjątkowy charakter i to z kilku powodów. Odbyło się dokładnie w rocznicę ingresu ks. bpa Vitalija Skomarowskiego do katedry Łuckiej i było połączone z inauguracją nowej sali w katedrze, przygotowanej dla Szkoły Katedralnej. Jak przypomnieli założyciel i dyrektor Ośrodka Duszpastersko-wydawniczego „Wołanie z Wołynia” ks. Vitold Yosif Kovaliv, kiedy jeszcze w katedrze było muzeum ateizmu, w tej sali, stanowiącej przez ostatnie lata magazyn muzealny, odbywały się pierwsze nabożeństwa. Dziś dzięki staraniom ks. bpa Vitalija Skomarowskiego, ta część katedry została pięknie odnowiona i w przyszłości służyć będzie nie tylko Szkole Katedralnej.

Tematem majowej sesji, którą poprowadził dyrektor stowarzyszenia „Barwy Kresowe” Jerzy Rolinger była rodzina w świetle nauki społecznej Kościoła.

Sesję otworzył wykład kierownika Szkoły Katedralnej UO UKSW dra Ka-



Bp Witalis Skomarowski i dr Kazimierz Szalata podczas majowej sesji
Fot. Ludmiła Poliszczuk

zimierza Szalaty „Szczęście czyli żywot człowieka poczciwego w rodzinie”. Następnie ks. prof. Mieczysław Ozorowski zaprezentował wystąpienie „Rodzina bogactwem Kościoła”.

Ze względu na wzrost zainteresowania wykładami realizowanymi w ramach Szkoły Katedralnej, część wykładów prezentowana jest w języku ukraińskim. Tym razem naukę kościoła katolickiego na temat rodziny w wykładzie „Сім'я та суспільство в соціальній науці Церкви” w języku naszych wschodnich sąsiadów przedstawił ks. Vitold Yosif Kovaliv. Również w języku ukraińskim dr Fedir i dr Miriosława Dawydiuk przedstawili historię rozwoju kościoła domowego na Ukrainie i jego wpływ na życie małżeńskie i rodzinne. Dyrektor Kliniki Przyja-



Majowa sesja szkoły Katedralnej UO UKSW odbyła się w kaplicy katedry.

Fot. Ludmiła Poliszczuk

znej dla młodzieży dr Mirosław Naumczuk w ciekawy sposób przedstawił pracę swojej placówki, która niesie pomoc młodym ludziom pragnącym założyć rodzinę, bądź też potrzebującym wsparcia. Jak zawsze, w majowej sesji Szkoły Katedralnej UO UKSW w Łucku uczestniczyło wiele znakomitych osobistości wśród których trzeba wymienić panią Konsul Generalną Beatę Brzywczy oraz Panią prezes Stowarzyszenia Kultury Polskiej im Tadeusza Kościuszki Ninę Poremską.

Przy okazji majowej sesji kierownik Szkoły Katedralnej dr Kazimierz Szalata w towarzystwie ks. prof. Mieczysława Ozorowskiego, koordynatora Szkoły katedralnej Michała Szalaty i wolontariusza Fundacji Follereau Krzysztofa Kusia-ka zwiedzili ośrodek Duszpastersko-wy-

dawniczy „Wołanie z Wołynia” w Ostrogu, mieszczący się w dawnej siedzibie Ostrogińskiego Bractwa Świętych Cyryla i Metodego i klasztorze oo. kapucynów Narodowy Uniwersytet zwany „Ostrogińską Akademią” oraz prowadzoną przez prof. Jerzego Waleckiego Obwodową Klinikę Gruzlicy i Chorób Zakaźnych w Łucku.

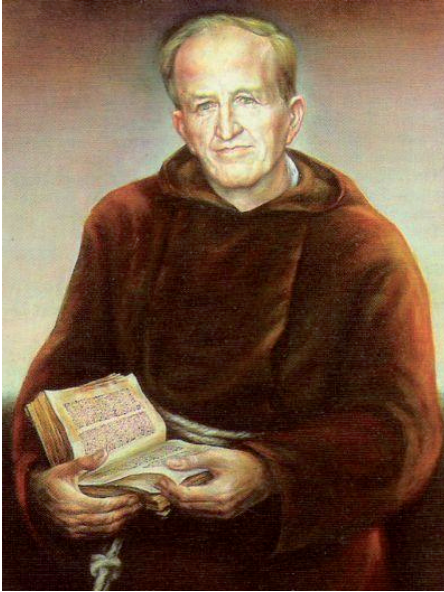
Kazimierz Szalata

Fotorelacja Michała Szalaty – zob. album na naszej stronie w FB



Молитва - МОЛИТВА

MODLITWA O BEATYFIKACJĘ SŁUGI BOŻEGO O. SERAFINA KASZUBY



Boże, Ojczy miłosierny, spraw, by Twój sługa Serafin Kaszuba, kapłan z zakonu kapucynów został przez Kościół ogłoszony świętym. On całe swoje życie poświęcił ofiarnej pracy, by twoim dzieciom prześladowanym za wiarę nie brakło światła Ewangelii i łask sakramentów świętych. Przez jego wstawiennictwo proszę Cię, udziel mi łaski, której obecnie tak bardzo potrzebuję:... Proszę także o to, bym podobnie jak ojciec Serafin we wszystkim zdawał się na Twoją Opatrzność i nawet w najtrudniejszych okolicznościach życia powtarzał: Ojczy, nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie! Proszę Cię o to w imię Jezusa Chrystusa, naszego Zbawiciela. Amen. („Ojczy nasz”, „Zdrowaś Maryjo”, „Chwała Ojczy”...)

Świadectwa otrzymanych łask można nadsyłać na adres:

Postulacja sprawy o. Serafina Kaszuby
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
e-mail: postulacja@kapucyni.pl



Шановний(на)

Запрошуємо Вас на захід, присвячений
105-й річниці від дня народження
отця Алоїза-Казимира Кашуби (1910-1977)
видатної особистості нашого краю.



Захід відбудеться

17 червня 2015 року о 12-00

у «Світлиці» Рівненської обласної універсальної
наукової бібліотеки

2015 Рівне вул.Короленка 6

Ў нас на Воўнію - У нас на Волині

„POZIOMKA WSKAZUJE DROGĘ ŚMIERCI”. MODLTWA W BYKOWNI

W czwartek, 9 kwietnia 2015 r., z siedmioma parafianami z Ostroga wziąłem udział w wyjeździe do Bykowni k. Kijowa, gdzie odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne za pomordowanych tutaj Polaków, Ukraińców, Żydów. Modliłem się za Innocentego Głowackiego z Ostroga, przedwojennego senatora RP i wszystkie inne ofiary tam zamordowane.

INNOCENTY GŁOWACKI

Innocenty Głowacki (Innokentij Hołowackij) (1886-1940), ukraiński nauczyciel; członek spółdzielni rolniczych na Wołyniu; dyrektor Banku Ukraińskiego w Ostrogu n. Horyniem. Był senatorem RP w latach 1930-1935. Aresztowany jesienią 1939 roku. Śledztwo w jego sprawie NKWD wszczęło w Równem. W dniu 18 maja 1940 r. został wywieziony do więzienia w Kijowie i zapewne wkrótce rozstrzelany w Bykowni k. Kijowa.

KAROL DOWGIAŁŁO

W Bykowni pochowany jest też m.in. mjr Karol Dowgiałło, teść ciotki Bronisława Komorowskiego. Tak o nim mówił prezydent Komorowski w 2012 roku: „Właściciel majątku w Nowomalinie, który 1 września pojechał do Warszawy, aby iść na wojnę. Był już za stary, bo miał czterdzieści kilka lat, wtedy to było dużo, i został odesłany z powrotem. Został aresztowany 17 września i podzielił los wielu polskich obywateli”. W 2012 i w 2014 r. byli tutaj jego krewni. Losy rodziny Dowgiałłów, tej z Litwy i Wołynia, są ilustracją trudnych, polskich losów rodzin kresowych.



Niektórzy uczestnicy wyjazdu do Bykowni jechali pomodlić się za konkretną osobę tam spoczywającą

Fot. Aurora

PODRÓŻ ŚLADEM ŚW. JANA PAWŁA II

Była to podróż także śladem św. Jana Pawła II – dnia 24 czerwca 2001 r. w Bykowni modlił się papież Słowianin. Wówczas cały świat niejako dowiedział się o Bykowni. Na miejsce modlitwy idziemy „drogą śmierci”, co uprzytomnił mi starszy mężczyzna. „Poziomka wskazuje drogę śmierci”.

MSZA ŚWIĘTA

Uroczystej Mszy św. żałobnej na Polskim Cmentarzu Wojennym w Kijowie-Bykowni, czwartym cmentarzu katyńskim, przewodniczył bp Józef Guzdek, biskup połowy WP. Z duchowieństwa diecezji łuckiej koncelebrowali: ks. wikariusz generalny ks. kan. Jan Buras, ks. dziekan Władysław Czajka z Równego, ks. Vitold Yosif Kovaliv z Ostroga i ks. Władysław Łukasiewicz z Sarn.





Delegacja z Ostroga na uroczystości w Bykowni. Od lewej: Lesia Szejbart, Natalia Pradun, Tetjana Ravska, ks. Vitold-Yosif Kovaliv, Vitaly Przewlocki, Walentyna Novik, Nela Zastavska i Żanna Czajka. Fot. ks. Władysław Czajka

Obecny był prezydent RP Bronisław Komorowski.

W homilii ordynariusz połowy Wojska Polskiego mówił o ciszy, jaka zapanała po zamordowaniu polskich obywateli. Przypominając słowa Papieża Franciszka o prześladowanych chrześcijanach bp Guzdek zauważył, że na świecie wciąż dokonuje się wielu masowych zbrodni, leje się krew niewinnych osób. *„Krytykujemy tamtą ciszę czasów wojny i wielu lat po jej zakończeniu, słusznie oburzamy się na takie postawy, ale powinniśmy uznać, że następne pokolenia będą miały prawo do krytykowania naszego milczenia i naszej bezczynności”* – powiedział bp Guzdek.

„Pokój tobie, Ukraino! Pokój tobie, Polsko! Amen” – tymi słowami biskup połowy

Józef Guzdek zakończył swoje kazanie na obchodach 75. rocznicy mordu katyńskiego w Bykowni.

APEL POLEGŁYCH

Po nabożeństwie odbył się Apel Poległych. *„Więźniowie z Łucka i Równego, stańcie do apelu!”* Nie miałem siły przejść alejką z tablicami pochowanych, koledzy księża mówili mi, że na kilku tablicach jest napis „Ostróg”.

Na cmentarzu w Bykowni zrobiona jest piękna alejka, na której wiele tabliczek jest z Wołynia:

Paweł Bogucki – funkcjonariusz policji z Równego na Wołyniu;

Stefan Dowgird – dyrektor elektrowni w Łucku;

Ludwik Godlewski – urzędnik Banku Rolnego w Łucku;

Stanisław Gołębski – radca w Banku Rolnym w Łucku;

Józef Iwko z komisariatu policji państwowej w Łucku;

kapitan Jakub Jędrzejewski ze stacjonującego w Łucku 24. pułku piechoty;

Marian Kalasiewicz – inspektor wojewódzki w Powszechnym Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych w Łucku;

starszy posterunkowy Bolesław Kokościński z komisariatu policji państwowej w Łucku;

inżynier Włodzimierz Leszczyński – inspektor Dyrekcji Lasów Państwowych w Łucku;

Antoni Łączyński – naczelnik Urzędu Ziemskiego w Łucku;

Wincenty Łukomski z komisariatu policji państwowej w Łucku;

Tadeusz Piekło – pracownik Izby Skarbowej w Łucku;

Jan Sokal – sędzia Sądu Okręgowego w Łucku;

Iwan Tkacz – posterunkowy Policji Państwowej w Łucku;

Jerzy Widacki – radca w Banku Rolnym w Łucku.

Jak widzimy to była elita przedwojennego Wołynia.

Pogoda była piękna, ale wiał zimny wiatr.

NIE BYŁO CZASU DŁUŻEJ POROZMAWIAĆ

Po nabożeństwie podszedł do mnie p. Dowgiałło – nie było kiedy dłużej porozmawiać, bo czekał autobus do ambasady na spotkanie z prezydentem Komorowskim.

Serdecznie dziękuję p. Beacie Brzywczy, konsulowi generalnemu RP w Łucku, za możliwość wzięcia udziału w tym nabożeństwie.

ks. Vitold-Yosif Kovaliv

Ostróg nad Horyniem, 10 kwietnia 2015 r.

P.S. Warto oglądnąć film: „*Gdzie rosą poziomki*” (2006) – Bykownia, Katyń. Jest to poruszający dokument o Bykowni, miejscu mordu Polaków i innych narodowości z tzw. ukraińskiej listy katyńskiej. Ich liczbę szacuje się nawet na 150 tys. Przez lata starano się zatrzeć ślady tej zbrodni. Dziś archeolodzy próbują ocalić poległych od zapomnienia. Film Anny Ferens wzbożony opowieściami rodzin poległych i mieszkańców Bykowni.

Link do filmu:

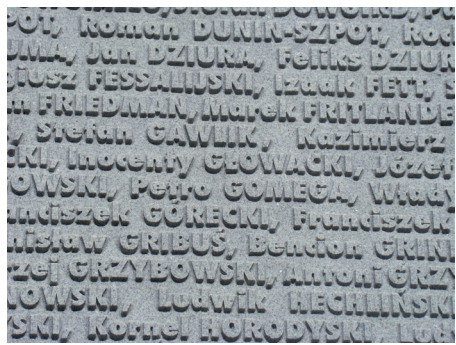
https://youtu.be/I5jooz_j51Y
36:36 Karol Dominik Dowgiałło

Warto przeczytać też książkę:

Andrzej Krzysztof Kunert Adam Siwek Zygmunt Walkowski, „*Polski Cmentarz Wojenny w Kijowie-Bykowni (Czwarty Cmentarz Katyński)*”, Warszawa 2012.

Można ją pobrać na stronie:

<http://www.radaopwim.gov.pl/media/pliki/BYKOWNIA.pdf>



Fragment pomnika-steli przy ołtarzu w

Bykowni z nazwiskiem senatora

Inocentego Głowackiego

Fot. Autora

Do beatyfikacji Sługi Bożego ks. Władysława Bukowińskiego

До беатифікації Слуги Божого о. Владислава Буковинського O PRZYJAŹNI I KS. BUKOWIŃSKIM W TORUNIU

Dnia 9 kwietnia 2015 r. w toruńskiej Bibliotece Uniwersyteckiej odbyło się z udziałem ks. biskupa Józefa Szamockiego otwarcie wystawy: „Ks. Władysław Bukowiński (1905-1974). Apostoł Kazachstanu. Listy do prof. Karola Górskiego”. O Apostole Kazachstanu, ojcu duchowym najbardziej opuszczonych i nieszczęśliwych na nieludzkiej ziemi, duszpasterzowi Polaków, Niemców, Ukraińców i Litwinów pisano w ostatnim czasie sporo. W ubiegłym roku minęła czterdziesta rocznica śmierci, a obecnie trwa sto dziesiąta rocznica urodzin wielkiego Kapłana.

DLACZEGO TORUŃ?

Toruń i Karaganda to przestrzeń rozwoju niezwykle przyjaźni między autorem „Wspomnień z Kazachstanu” a historykiem mediewistą i wybitnym znawcą historii duchowości w Polsce profesorem Karolem Górskim. Trwała od 1921, od czasów studenckich na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, pogłębiona wspólną pracą w Stowarzyszeniu Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie” i Akademickim Kole Kresowym, założonym dla nauki i wzajemnej pomocy przez studentów przybyłych z terenów wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Korespondencję nawiązał ksiądz Władysław w Karagandzie po ustaleniu w 1956 roku adresu Profesora. Między tymi miastami aż do śmierci Ks. Bukowińskiego z w wyłączeniem okresu trzeciego uwięzienia, trwała wymiana listów, czasopism



i książek, które spragnionemu informacji o sytuacji społecznej i stanie Kościoła w Polsce absolwentowi prawa i Szkoły Nauk Politycznych wysyłał Karol Górski. Korespondencja była, jak zwierzał się autor „Wspomnień z Kazachstanu” w liście z 12 grudnia 1956 jego „największą przyjemnością osobistą” pośród codzienności wypełnionej posługą kapłańską w trudnych warunkach sowieckiego komunizmu. W tym samym liście dzieli się z przyjacielem wewnętrznym doświadczeniem: „mam ja przyjemności jeszcze wyższego rzędu, które porównywał z rado-



Maria Kalas oprowadza po wystawie biskupa Józefa Szamockiego

Fot. Jacek Kalas

ścią mych kolegów ewangelicznych wobec cudownego połowu. Ale też doznają i reakcji Piotra – w poczuciu niegodności osobistej wobec ogromu łask Bożych, których jestem świadkiem. Są one wyświadczone po długoletniej przerwie albo i po raz pierwszy w życiu w tej postaci”.

Obraz Autora, który wyłania się z listów, jest tym samym obrazem, który zawarty jest w jego relacjach i wspomnieniach (myślę tu o opracowaniu z 1969 roku pt. „*Kościół Katolicki na Ukrainie*”, „*Wspomnieniu z więzienia o Księdzu Biskupie Adolfie Piotrze Szelążku*” z tego samego roku i „*Wspomnieniach z Kazachstanu*” z 1970). We wszystkich tych tekstach widzimy spokojne, rzeczowe spojrzenie osoby, która otwarcie, z powagą, ale i nie bez humoru mówi o rzeczach najważniejszych – przyjaciel zawiera swoim Bliskim, zwyczajnie i prosto najważ-

niejsze treści swojego życia. Dodam, że ta właśnie, głęboka więź między autorem a wpisanym w pisma czytelnikiem, u której źródła leży chyba świętość w jej rozmaitych przejawach jest zapewne jednym z powodów, że „*Wspomnienia z Kazachstanu*” odegrały tak wielką rolę dla wielu osób mojego pokolenia, na progu lat osiemdziesiątych.

Także więc i w listach zdumiewa ton spokoju, pogody ducha i ufności Bogu. Może nawet tu jeszcze bardziej odślania autor, pośród zwięzłych relacji na temat swojego życia, spojrzenie pełne zawierzenia. Kiedy szukam jakiejś współczesnej paraleli, która by je wyraziła, przychodzą mi na myśl słowa z wiersza ks. Jana Twardowskiego: „... ja, ksiądz/ wierzę Panu Bogu jak dziecko”. Powierzenie Bogu siebie i swojego kapłaństwa łączy się z poczuciem „*głębokiej celowości*” swoje-

go losu. Wielokrotnie pisze o tym przyjacielowi z Torunia. Towarzyszyło mu „*zawsze i wszędzie*” – od chwili opuszczenia Łucka w asyście więziennego konwoju w drodze do kijowskiego więzienia Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego, – poprzez decyzję w 1955 r. o dobrowolnym pozostaniu w ZSRR i przyjęciu sowieckiego obywatelstwa, skończywszy na powrocie z ostatniej podróży w 1973 roku do Polski. Tę ostateczną pewność wyrażał bardzo już schorowany kapłan w październiku następnego roku wobec przyjaciół daremnie chcących go zatrzymać w Wierzbowcu na Podolu: „*Chcę być przy moich parafianach. A skoro już nic nie mogę robić, to jest jedyne, co mogę dla nich zrobić. I jeśli umrę, to umrę pośród nich. A wtedy będę im z nieba pomagał*”.

Poczucie bycia „*narzędziem Bożej Opatrzności*” wyrażało się niekiedy w słowach żartobliwych: „*Ani uczone wykłady, ani tym mniej odpowiedzialność za całą diecezję, lecz właśnie pocieszanie opuszczonych staruszek jest moim opatrznościowym zadaniem*” (list z 14 grudnia 1973 r.). Jakie głębokie treści i dramatyczne często doświadczenia kryły się za tymi słowami, to oczywiście wiedział autor „*Dziejów duchowości w Polsce*”. Pod okiem sowieckiej i krajowej cenzury ksiądz Bukowiński pisał już w drugim liście: „*Zostałem od wielu lat pozbawiony troski planowania własnego życia. W latach 1945-46 byłem w Kijowie, następnie 4 lata w Czelabińsku na Uralu i 4 lata w Dżezkazganie o 500 km stąd. Wreszcie od sierpnia 1954 jestem tutaj. Otóż, wszędzie gdziekolwiek byłem, widzę głęboką celowość tego, że tam właśnie byłem. W najwyższym stopniu dotyczy to Karagandy. Dnia 30/XI ub. R. większość rodaków wyjechała stąd do Kraju. Ja zostałem tutaj, ze względu na ową celowość nie ulegającą najmniejszej wątpliwości*”.

Dzieje kolejnego pobytu w łagrze dopełnia relacja w liście z 2 kwietnia 1962 r., również prezentowanym na toruńskiej wystawie: „*Moja historia w ciągu trzech lat była taka: spędziłem 2 lata w miasteczku Czuna w obwodzie Irkuckim na Syberii i niecały rok w Mordowii – 400 km na południowy wschód od Moskwy. Warunki materialne były zadowalniające, znacznie lepsze niż pod moim pierwszym przyjazdem do Karagandy. Przy tem zwłaszcza w Mordowii miałem bardzo mile towarzystwo, zdolne do dyskusji nawet na temat filozofii tomistycznej. Mimo to ze złością radością powróciłem w grudniu do Karagandy, gdzie mi było i jest dobrze wśród dobrych ludzi*”.

I dodaje z właściwym sobie realizmem, pełnym spokojnego zawierzenia: „*Jeśli w nauce historycznej cenną jest zdolność przewidywania, to w mojej osobistej historii nic przewidzieć się nie da. Żyje się dniem dzisiejszym i ufnością w Opatrzność. Stosunkowo najbardziej prawdopodobne wydają się ewentualności mniej przyjemne*”.

Warto nadmienić, że w toruńskim archiwum Karola Górskiego, obok 36 listów Sługi Bożego zachowało się również sześć brudnopisów listów Profesora. Przypomnijmy tylko, że wykonując ostatnią wolę zmarłego ks. Józef Kuczyński zniszczył wszystkie listy historyka wraz z innymi dokumentami; fakt ten stanowić może jeszcze jeden przyczynek do poznawania sytuacji, w jakiej działał Sługa Boży.

TORUŃ...

Toruń obecny był w pamięci Apostoła Kazachstanu nie tylko jako adres wypisywany na kopercie: Autor „*Stanu Kościoła na Ukrainie*” otrzymywał „*wyczerpujący*” obraz pracy pedagogicznej i dydaktycznej przyjaciela na UMK, jego książki

z dziejów Torunia, zakonu krzyżackiego i Pomorza Wschodniego, omówienia i jak się zdaje, prace kolegów po piórze. Odysłał mu jakby mini recenzje, dzielił się swoim spojrzeniem na sytuację Kościoła w Polsce. Korespondencja wzmacniała więź między przyjaciółmi. Ks. Władysław pisał „*Dziękuję, kochany mój Karolu, za wszystko dobre doznane w życiu od Ciebie. Dziękuję zwłaszcza za dobry przykład otrzymany od ciebie w młodości i za pamięć codzienną o mnie (...) Oby Wasze życie tam, a nasze tutaj – w myśl drogich nam od młodości haseł – upływało w służbie Prawdy i Pokoju*”. Autor „*Do moich przyjaciół*” odwdzięczał się codzienną modlitewną pamięcią, o której zapewniał niekiedy z właściwym sobie humorem: „*Twój codziennie pobożnie, i nie tylko pobożnie, wspominający...*”

Zapoznał z osobą Profesora swojego przyjaciela, wspomnianego już ks. Józefa Kuczyńskiego. Śladem tej nawiązanej więzi, trwającej długo jeszcze po śmierci Księdza (ks. Kuczyński zmarł w 1982 roku) jest kartka od autora „*Między parafią i lagrem*”, wysłana na święta wielkanocne grobu w 1977 z Wierzbowca na Podolu, gdzie zresztą w 1974 roku, autor wspomnień z Kazachstanu odpoczywał, cieszył się przyjaciółmi i odprawił swoje pierwsze po wojnie rekolekcje, z książką Loewa „*Jezus zwany Chrystusem*”. Ks. Kuczyński wysłał Karolowi Górskiemu otrzymane zdjęcia Przyjaciela, a po roku 1974 zdjęcie grobu na cmentarzu położonym 15 km. za miastem, prezentowane na wystawie. (władze nie zgodziły się na pochowanie Kapłana na cmentarzu w obrębie Karagandy).

...I PODOLE

Podole, Żytomierszczyznę odwiedził cztery razy. Był to powrót w rodzinne strony, czas radosnych spotkań z przyjaciółmi,

pomocy w ich pracy duszpasterskiej. Tak odwiedzał ks. Bronisława Drzepeckiego, proboszcza wówczas, po powrocie z Kazachstanu, w Szarogrodzie, wspomnianego Józefa Kuczyńskiego w Barze (dzielącego z nim uprzednio nie tylko los łagiernika, ale i apostołowanie w Kazachstanie), czy ks. Antoniego Chomickiego w Murafie. Pisał do Torunia po trzeciej swojej podróży: „*Podole jest krajem naprawdę niezwykle pięknym i malowniczym, pełnym jakiegoś szczególnego poetyckiego uroku. Nawet żaby rechoczą na Podolu w jakiś uroczy sposób. W tym roku Podole powitało mię w rozkwicie wiosny: świeżo zielenią drzew i pól, oraz bielą rozkwitłych sadów. Jeszcze bardziej raduje na Podolu pobożność i serdeczność. Nikt tam nie mówi – «kanoniku» czy «pralacie», bo mówi się tam «ojczulku» albo i «ojczuleńku» Kościoły podolskie, co prawda nieliczne, są wszystkie świeżo odnowione, a niektóre z nich wewnątrz pomalowane w sposób niemalże artystyczny*”. I stamtąd zawsze wracał do swoich. Wrócił i w październiku 1974 roku, zatrzymywany daremnie przez ks. Józefa jego siostrę Marię widzących katastrofalny stan zdrowia przyjaciela, gnany duszpasterską gorliwością i tęsknotą do swoich parafian do Karagandy, gdzie zmarł dwa miesiące później.

ODWIEDZINY

W DOMU PRZYJACIELA.

Toruń obecny był również w sercu Ks. Władysława poprzez pamięć o rodzinie Przyjaciela – żonie Zofii i dzieciach. Ksiądz z właściwą sobie umiejętnością dostrzegania spraw najważniejszych dzielił ojcowskie zatroskanie o duchowy rozwój dwóch synów, o ich wyборы: „*Sądzę, że moment religijności kobiety odgrywa rolę bodaj decydującą. Chodzi tylko o to, by to była religijność szcze-*

ra, dogłębna, a nie konwencjonalna tylko” (12 grudnia 1956) Doradzał, dopytywał. Kreślił duchowy obraz rodziny: „*Od rodziny zależy niemalże wszystko, szczególnie pod względem najważniejszym. Tylko rodzina może otwierać perspektywy wiekuiste*” (4 listopada 1957): Ogarniał serdeczną pamięcią powiększającą się rodzinę przyjaciela: synowe, wnuki. Towarzyszył w trudnych chwilach po śmierci żony: „...w Toruniu jest pusto i samotnie. Ja Ciebie dobrze rozumiem i współczuję. Toruń bez Zofii to nie to samo co Toruń z Zofią. Swoją drogą, jak sobie urządziłeś życie codzienne i gospodarstwo domowe? Czy jesteś zadowolony, jak Ciebie ktoś odwiedzi, czy raczej wolisz być samotnym w swym mieszkaniu? Będę oczekiwał Twojej odpowiedzi” (12 stycznia 1967 r.) Wreszcie przyjechał do Karola Górskiego w trakcie drugiej podróży do Polski 26 listopada 1969 roku. Pisał 11 listopada 1969 r.: „*Najdalej we środę 26, XI wyjadę prosto z Krakowa do Torunia. Będę u Ciebie tylko jeden dzień, lecz będzie to dzień niezapomniany! O koszty przejazdu się nie troszcz, a mieszkanie i wyżywienie tylko u Ciebie, bo i brak będzie czasu chodzić gdzie indziej. Gdybym przyjechał w czasie Twojej nieobecności w mieszkaniu, to poczekam u Twoich najbliższych sąsiadów. A więc, do miłego zobaczenia, a tymczasem Szczęść Boże!.....*”.

Jest dla mnie powodem szczególnego wzruszenia, że spotkanie miało miejsce przy ul. Krasińskiego 59; mieszkaliśmy bowiem w tym samym domu, w sąsiedniej klatce schodowej i najprawdopodobniej przyszło mi spędzić ze świętym kapłanem noc pod tym samym dachem. Za gościnę dziękował w liście wysłanym już z Krakowa. Dodam, że od 1962 roku listy adresowane były na ul. Mickiewicza 61, tam bowiem przeprowadził się profesor z małżonką.

DIECEZJA ŁUCKA NA WYGNANIU

Czy odwiedził podczas bytności w Toruniu grób swojego biskupa ordynariusza łuckiej diecezji ks. biskupa Adolfa Piotra Szelaźka, znajdujący się w kościele pw. św. Jakuba? Nie wiadomo, chociaż jest rzeczą prawdopodobną, że tak mogło być. Ksiądz Bukowiński był przecież od 1936 roku wykładowcą w Wyższym Seminarium Duchownym w Łucku, bliskim współpracownikiem ks. biskupa, a od wejścia Sowieców 17 września 1939 roku do chwili ponownego aresztowania (z roczną przerwą spowodowaną pobytem w więzieniu) proboszczem katedry pw. św. św. Piotra i Pawła. Dramatyczna, pełniona z ogromnym poświęceniem posługa wśród najbardziej zagrożonych aresztowaniem, wywózką i utratą życia ludzi; Polaków, jeńców sowieckich, Żydów-nawiasem mówiąc mniej znany motyw z życia Sługi Bożego, a również reprezentowany na wystawie – troska o stan Kościoła, niewątpliwie połączyła szczególnie Proboszcza Katedry i Jego Biskupa. Aresztowany tej samej nocy z 3 na 4 grudnia 1944 spędził wraz z nim pół roku w jednej celi kijowskiego więzienia, o czym złożył w 1969 roku relację w przejmującym „*Wspomnieniu z więzienia o Księdzu Biskupie Adolfie Piotrze Szelaźku*”. Przez długie lata nic nie wiedział o dalszych dziejach swojego biskupa, którego czcił i podziwiał. Podobnie nieznanym mu pozostawał los wielu kapłanów diecezji łuckiej działającej do roku śmierci biskupa Szelaźka „*na wygnaniu*”, właśnie w Toruniu. Jak wiadomo, z innymi podzielił los łagiernika, zesłańca, wreszcie podziemnego duszpasterza Kościoła Milczenia. Do dzisiejszego dnia można napotkać w diecezji pelplińskiej ślady trudnych dziejów księży tej terytorialnie największej naszej przedwojennej diecezji w postaci paramentów liturgicznych czy książek. Biskup

Szelązek zmarł na Zamku Bierzgłowskim w 1950 roku. Dwa lata temu rozpoczął się w naszej diecezji proces beatyfikacyjny, a jego postulatką została siostra Hiacynta Augustynowicz ze założonego przez Sługę Bożego Zgromadzenia Sióstr św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Siostry Terezjanki od roku obecne w Toruniu przy parafii Matki Bożej Królowej Polski szerzą kult patronki swojej i zarazem patronki diecezji łuckiej. Autor „*Dziejów duchowości w Polsce*” próbując po latach określić źródła duchowości swojego przyjaciela wskazał na Małą Świętą Teresę i na to, że tak jak ona, „*godził się być narzędziem Bożej Opatrzności zawsze i wszędzie*”.

ŻYWE KOŚCIÓŁ

Zdjęcia z okresu misyjnej działalności otrzymane za pośrednictwem siostry Anny Marii Kierznowskiej, karmelitanki bosej z Karagandy, powinowatej Księdza, a także pani Niny Żubrowskiej i sióstr Eucharystek pracujących przy kościele pw. św. Józefa, przeplatają się ze współczesnymi zdjęciami z Łucka, Oziornoje, Pietropawłowska i stepowymi krajobrazami Kazachstanu. Cytaty ze wspomnień Kapłana oraz relacje świadków-wiernych i przyjaciół zestawiałam z fotograficznymi migawkami z uroczystości kościelnych święta Miłosierdzia Bożego w Pietropawłowsku, młodych przed kościołem, rodzin katolickich goszczących misjonarzy. Chciałam osadzić życie ks. Władysława w konkretnym środowisku (obrazują je też zdjęcia z Izby Pamięci Wywózek mieszczonej się przy kościele sióstr redemptorystek) i wskazać na bardzo ważny, profetyczny charakter Jego posługi. Na jednym ze zdjęć wierni niosą ku prezbiterium w radosnej procesji chorągwie z wizerunkiem MB Częstochowskiej i św. Jana Pawła II. Komentarzem są słowa późniejszej siostry. M. Teresy Bitz, w której rodzinnym

domu mieszkał Ksiądz w ostatnim roku życia: „*Zaledwie w 3 lata po jego śmierci dano zezwolenie na budowę kościoła. Biskup Aleksander (Chira) go poświęcił i w kazaniu mówił o tym, że to ksiądz Bukowiński kładł podwaliny pod kościół tu, w Karagandzie, a on sam (Aleksander) w ogóle nie przyłożył do tego ręki. Wszystkie tutaj to ciężki trud księdza Bukowińskiego. Tak to już jest, że jeden sieje, a kto inny zbiera owoce. Obecnie jest już siedmiu młodych księży z Karagandy, wszyscy z parafii księdza Bukowińskiego, a ośmiu jest jeszcze w seminarium duchownym. Prawie wszyscy z nich to «dzieci», które z rąk księdza Bukowińskiego przyjmowały I komunię św. i u niego praktykowały. «Ziarno pszenicy musi obumrzeć, aby wydało plon stokrotny»”.*

GLEBOKIE DUSZPASTERSTWO

Zdjęcia wskazują na zadziwiającą cechę – współczesność – i siłę posługi pełnionej, jak to podkreślił ks. Z. Kijas, postulator procesu beatyfikacyjnego na poziomie watykańskim, „*od osoby do osoby*”, w rodzinach.

Jest przedziwną rzeczą, jak głęboko sięgał duszpasterz tych, o których mówił w listach do profesora Górskiego, że czasem „*nie wiedzą nawet kto i po co był ukrzyżowany*” (9 X 1971). Głębia nawiązywanego kontaktu z poszczególnymi osobami, katechezy, dzielenie się wiarą musiało starczyć za systematyczny wykład czy proces wzrastania w zwykłej parafii. Ks. Bukowiński wiedział doskonale, że może to być dla wielu pierwsze i ostatnie spotkanie z kapłanem, a też i on sam może zostać aresztowany, a w najlepszym razie wypędzony, jak to zresztą bywało w czasie jego wypraw misyjnych. Czasem były to przedziwne katechezy „*przygodne*” głoszone np. w czasie podróży wozem z sakramentami do cho-

rego dziadka: „Pierwszy raz usłyszałem, kim był święty Waclaw, którego imię noszę. Ksiądz Bukowiński zaczął opowieść o Królestwie Czeskim w X wieku, potem o Golgocie i Krzyżu Jezusowym, o poranku Zmartwychwstania i wielu innych wydarzeniach, o których niewiele wiedzieliśmy, bo nie było ludzi, którzy by nas oświecili, ani ksiąg do czytania. Zadziwiająca katecheza: długa na kilka kilometrów, lecz głęboka na tysiąclecia”. To wspomnienia cytowanego na wystawie Waclawa Popławskiego, który, jak wielu spośród młodych parafian, podjął później powołanie kapłańskie. O tej głębi spotkania mówią również inne prezentowane na wystawie relacje świadków.

MODLITWA

Wiara przekazywana była przez babcie i zasadała się na modlitwie. Ksiądz dzielił się swoimi obserwacjami: „W jaki sposób Felicia osiągnęła takie rezultaty wychowawcze, które trzeba uznać za znakomite w głębi ateistycznego kraju? Wszak Felicia wychowała swe dzieci bez kościoła, bez księdza, bez Mszy św., bez spowiedzi i Komunii św. Felicia była mądra i pobożna. W jej rodzinie na pierwszym miejscu była modlitwa. Codziennie modliła się głośno razem z dziećmi”. Czym to groziło, uświadamia inna relacja: „Naczelnik milicji uczynił Bonifacji, ostre wymówki za to, że przyjęła «popa» w swym domu, a szczególnie za to, że modli się z dziećmi. Zażądał od niej, by mu obiecała, że dzieci przestaną się modlić. Bonifacja stanowczo odmówiła. Wtedy naczelnik milicji zaczął grozić, że każde odebrać jej dzieci i oddać je do «dietdoma», czyli sierocińca, gdzie zostaną wychowane na uczciwych obywateli Związku Radzieckiego. Bonifacja dała mu taką odpowiedź: «Jeżeli nawet wy odbierzecie dzieci od ich rodzonyj matki, to mamy jeszcze druga mat-

kę w Niebie – Bożą Rodzicielkę. Będę się modliła do Niej za moje dzieci, a tej matce i wy nie potraficie odebrać moich dzieci». Trzeba przyznać, że jest to odpowiedź godna zapisania w aktach męczenników”.

MŁODZIEŻ

Zdjęcia młodych wiernych z Piotropawłowska i Oziornoje przypominają wielką pracę Sługi Bożego wśród dzieci i młodzieży. Począwszy od tajnego katechizowania w Łucku, skończywszy na udzielaniu I Komunii w Karagandzie i innych miejscach, do których docierał w poszukiwaniu katolików rozproszonych po rozległych terenach Azji Środkowej. Na zdjęciach komunijnych z Karagandy widzimy rozmach ceremonii – dzieci otaczające Księdza – (pod albą świecki strój) ubrane w białe sukienki, koszule, na głowach dziewcząt wianuszki. Pomagał tej polskiej młodzieży wzrastając w wierze i znajomości historii ojczystej (na wystawie zaprezentowano dwa wydania – emigracyjne i wołyńskie napisanego jeszcze w obozie w 1954 podręcznika historii Polski, który, przepisywany ręcznie, krążył potem wśród zesłańców). „Trzeba dzieci uczyć” – mówił. Szczególnie wzrusza wspomnienie Niny Żubrowskiej. Ksiądz przyniósł jej 25 rubli na zakup tornistra:



„Bóg powiedział, kup teczkę i żeby były piątki”. Powodem trzeciego aresztowania była właśnie, obok oskarżenia o otwarcie nielegalnej kaplicy, katechizacja dzieci. I potem: „(...) często mu przecież grożono: «Jeśli przylapiemy cię jeszcze kiedyś z grupą dzieci, natychmiast pójdziesz do więzienia». Ale ks. Bukowiński zawsze wierzył w Opatrzność Bożą. Tylko Bogu ufał” – wspomina s. Maria Klara.

BEZIMIENNI

Jeszcze inaczej, mam wrażenie, ksiądz Bukowiński posłużył historii. Pisał do Karola Górskiego wiele razy o wierności ideałom, którymi żyła młodzież skupiona w Akademickim Kole Kresowym, między innymi o idei jagiellońskiej, o tym, że wyraża się ona w stosunku do narodów wchodzących niegdyś w skład Rzeczypospolitej. Jego posługa niesiona najbardziej opuszczonym wiernym z narodów zesłanych, wchodzących niegdyś w skład Rzeczypospolitej, przywraca je w jakiś sposób i naszej pamięci. By posłużyć się nośnym wyrażeniem poety Przemysława Dakowicza – przywraca „*pamięć bezimiennym*” – im samym – ale też nam, i to w sposób możliwie najdoskonalszy, najpełniejszy – bo niejako konsekruje je, zakorzenia w Bogu, tamtej ziemi – i naszej pamięci.

Ksiądz biskup Aleksander Chira, przyjaciel i spowiednik księdza Bukowińskiego, pierwszy proboszcz wybudowanego w cztery lata po jego śmierci kościoła pw. św. Józefa w Karagandzie mówił, że to narody zesłane przyniosą Kazachstanowi chrześcijaństwo.

W 2001 roku Kazachstan oddany został Matce Bożej Pokoju, a w 2012 roku poświęcony Bożemu Miłosierdziu.

Chciałabym zaznaczyć jeszcze jeden aspekt, bardziej duchowy, obecności ks. Władysława Bukowińskiego w grodzie



Wystawę odwiedzili także później goście z Wołynia

Fot. Archiwum

Kopernika. W naszym mieście znajduje się jakże ważne Sanktuarium bł. Ks. Stefana Wincentego Frelichowskiego, męczennika z Dachau, z relikwiami jego palców. Tu pracował do czasu swojego uwięzienia. Otóż mam wrażenie, że te dwie postacie naszych Błogosławionych (obecnie kończy się już ostatni, watykański etap procesu Apostoła Kazachstanu) są sobie wewnątrz bardzo bliskie, świętość jednego oświeśla i wydobywa niejako świętość drugiego. Może warto, by Toruń pamiętał o obu tych naszych wielkich Postaciach – temu ma służyć wystawa w Bibliotece Głównej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

Maria Kalas



Pamięć - Пам'ять

WYSTAWA W ŁODZI

„WOŁYŃ 1943. WOŁAJĄ Z GROBÓW, KTÓRYCH NIE MA”

Obchodzona w 2013 r. siedemdziesiąta rocznica tzw. „Rzezi bądź zbrodni wołyńskiej”, stworzyła możliwość przypomnienia w społeczeństwie polskim oraz ukraińskim skali tragicznych wydarzeń między obu narodami, zwłaszcza z lat 1943 i 1944. Ze względów politycznych – od ich samego zaistnienia na południowo-wschodnich Kresach II Rzeczypospolitej Polskiej (RP), poświęcano temu zagadnieniu niewiele miejsca w mediach i na polu edukacji. Miniona rocznica umożliwiła przekazanie faktów historycznych szczególnie młodemu pokoleniu Polaków i Ukraińców, w celu zainteresowania ich przyczynami oraz przebiegiem zbrodni na polskiej ludności cywilnej, dokonanej przez Organizację Nationalistów Ukraińskich (OUN) i Ukraińską Powstańczą Armię (UPA), a także ich zwolenników. Próby dokumentowania zbrodni wołyńskiej były – co jest faktem – przez lata podejmowane przez środowiska kresowe, Instytut Pamięci Narodowej, czasopisma specjalistyczne, jak np.: „Karta”, „Monitor Wołyński”, „Na Rubieży”, „Wołanie z Wołynia”, a także w ramach poszukiwań i badań ludzi zainteresowanych tą tematyką [1-7]. Jednak dopiero w 2013 r. ukazało się sporo artykułów opisujących obchody tragicznej rocznicy i miejsca zagłady Polaków, z których odnotowałem tylko kilka prac i egzemplarzy czasopism w zasadniczym stopniu poświęconych rocznicy [8-13]. W tym czasie wydrukowano szereg artykułów zawierających wspomnienia ludzi, którzy przeżyli koszmar mordowania ich najbliższych krewnych



Plansza rozpoczynająca wystawę

„Wołyń 1943. Wołają z grobów,
których nie ma”

i sąsiadów, zniszczenie domów rodzinnych, wsi i świątyń, co skutkowało tułaczką w warunkach skrajnego ubóstwa oraz ciągłej możliwości utraty życia [7, 9, 10, 12, 14].

Do głównych zadań Instytutu Pamięci Narodowej oprócz dokumentowania zbrodni i jej ścigania, należą działania edukacyjne oraz odkrywanie prawdy historycznej. Bardzo cenne są też starania podejmowane przez naukowców i publicystów przybliżające społeczeństwu fakty o wydarzeniach sprzed lat. Poszukiwa-



Wystawa na Pasażu Schillera w Łodzi

nie prawdy o zdarzeniach na Kresach i upamiętnianie miejsc kaźni, jest obowiązkiem nas – jako Polaków, wobec ofiar zbrodni wołyńskiej, a także obecnych oraz przyszłych pokoleń Polaków i Ukraińców [15].

WYSTAWA W ŁODZI

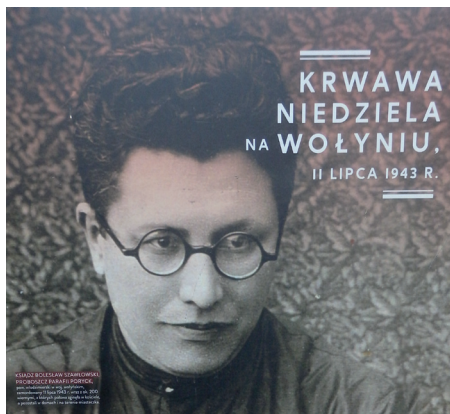
Od 20 października do 30 listopada 2014 r. prezentowana była na Pasażu Schillera w Łodzi (ul. Piotrkowska 112) wystawa plenerowa „Wołyń 1943. Wolają z grobów, których nie ma”, przedstawiająca genezę, przebieg oraz skutki rzezi wołyńskiej. Wystawa została przygotowana przez Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Szczecinie, Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” oraz Towarzystwo Miłośników Wołynia i Polesia, natomiast w Łodzi jej opiekunem był miej-

scowy Oddział Instytutu Pamięci Narodowej [15, 16].

Ekspozycję w Łodzi stanowiło 11 dwustronnych, prostopadłościennych paneli z nieobszernymi bokami, obejmujących 22 tablice wystawowe. W składzie wystawy można było wyróżnić grupy plansz stanowiące jej części tematyczne. Pierwsza – obejmując (plansze nr 2-5), prezentowała południowo-wschodnie Kresy II RP w aspekcie terytorialnym, wielonarodowym i wielokulturowym. Druga – złożona z plansz nr 6-9 wprowadzała odbiorcę w odpowiedni kontekst historyczny, opowiadała o sytuacji ludności kresowej podczas okupacji, przedstawiała także założenia ukraińskiej polityki narodowościowej i planowane działania likwidacyjne nacjonalistów z OUN i UPA wobec ludności polskiej. Punkt kulmina-

cyjny wydarzeń, tj. dokonanie masowych mordów na Polakach mieszkających na Wołyniu przedstawiono na planszach nr 10-13. Z kolei na tablicach nr 13-18 zaprezentowano dalsze tragiczne dla Polaków wydarzenia zaistniałe latem 1943 r. na Wołyniu, a także na terenach Małopolski Wschodniej. Na planszach nr 19-22 podsumowano wydarzenia z roku 1943 na południowo-wschodnich Kresach II RP [15]. Pamięć o miejscach kaźni przywołano na bokach paneli wystawowych w sposób symboliczny, poprzez umieszczenie tam ich wykazów z terenów województw: wołyńskiego, tarnopolskiego, lwowskiego i stanisławowskiego, obecnie znajdujących się w składzie niepodległej Ukrainy.

Na wystawie wymienieni z imienia i nazwiska mieszkańcy ziem południowo-wschodnich Kresów II RP, wówczas będący w wieku dziecięcym lub młodzieńczym (12 relacji), przeżyli trudną do wyobrażenia współczesnemu odbiorcy tragedię mordowania ich rodziców, krewnych i sąsiadów, a także palenia wsi rodzinnych. Wspominali oni, m. in. swoich bliskich, często opisując okoliczności ich śmierci. Wstrząsające relacje świadków przywoływały dramat okupacji początkowo sowieckiej, a następnie niemieckiej, narastające zagrożenie ich życia, a w końcu ludobójcze działania nacjonalistów ukraińskich z OUN i UPA. Jako przykłady lokalnych skupisk Polaków unicestwionych niemal w całości mogą służyć osoby na fotografiach ukazujących Chór z Ostrówek czy Szkołę Powszechną w Zagajach. Te i inne tragiczne przykłady (Parośla, Poryck, Kisielin, Janowa Dolina) przedstawiono na fotografiach dużych wymiarów. Reprodukcje zdjęć, to często jedyne ocalone pamiątki po zamordowanych rodzinach i wspólnotach. Zaświadcza o tym jedna z ostatnich reprodukcji: fotografia rodziny Karpiaków, wymordowanej 14 grudnia 1943 r. we wsi Latacz, którą znaleziono w jednym z zakładów w Malborku. Należy pamiętać, że znakomita więk-



**Ks. Bolesław Szawłowski,
proboszcz parafii Poryck, zamordowany z wiernymi 11 lipca 1943 roku**

szość spośród około 130 tys. ofiar polskich na Wołyniu, w Galicji Wschodniej i Lubelszczyźnie – oszacowana przez Ewę i Władysława Siemaszków oraz potwierdzona przez wielu badaczy (część historyków podaje niższe liczby ofiar), do dziś pozostaje bezimienna [1, 15, 16]. Całkowita liczba ofiar narodowości polskiej jest zapewne wyższa po uwzględnieniu ludzi zmarłych w dalszym okresie okupacji, np. wskutek ran odniesionych podczas napadów, chorób (np. tyfus), a także bardzo trudnych warunków życia, będących skutkiem utraty ich domów rodzinnych. Należy także pamiętać, że dowody zbrodni ich sprawcy starali się zacierać. Z kolei ludzie uratowani z tragedii, przez resztę życia oprócz bolesnych wspomnień, odczuwali potrzebę odnalezienia miejsc pochowania zabitych krewnych.

Sz szczególnie drastyczne fotografie prezentowane były w wewnętrznej części ekspozycji, do której zwiedzający mieli dostęp przez wizjery. Wystawie towarzyszy katalog w Internecie – umieszczony pod adresem www.wolyn1943.pl [15]. Przeglądając go można przeczytać relacje świadków w całości, bowiem na wystawie opublikowano jedynie ich fragmenty,



CHÓR
KOŚCIELNY we wsi
OSTRÓWKI
gm. Huszcza, pow. Luboml.
Lityś 2 osoby wzięte
na fotografię ocalały podczas
rzezi wsi 30 sierpnia 1943 r.,
w lityś zamordowano
474 osoby.

www.wolyn1943.pl

Chór kościelny we wsi Ostrówki

jak również obejrzeć więcej fotografii niż na planszach.

Na wystawie odnotowano, iż dla wielu Ukraińców, mimo propagandy OUN i UPA, niezrozumiałym było mordowanie ich sąsiadów w imię idei Ukrainy jednonarodowej, ludzi z którymi byli nierazdko w dobrych stosunkach, a nawet stanowili rodziny mieszane. Podano przykład Ukraińca, o imieniu Teofil, który z narażeniem życia uratował grupę Polaków, a sam został za to zamordowany. Na reprodukcji fotografii ukazano siostry Stadnickie, które w sierpniu 1943 r. wybronił przed zamordowaniem Ukrainiec z kolonii Augustów. W monografiach [1, 17] odnotowano wiele przykładów Ukraińców, którzy z narażeniem życia ratowali Polaków.

Genezę tytułu wystawy znajdujemy na jednej z plansz czytając informa-

cję, iż: „*badania historyków wskazują, że spośród 60 tys. Polaków zamordowanych na Wołyniu tylko 2853 osoby miały religijną pochówek. Poza nielicznymi pogrzebami zorganizowanymi w zagrożeniu życia przez ocalałych, ale bez udziału księży, większość ofiar była potraktowana jak padłe zwierzęta: zwłoki były zakopywane w miejscach mordu lub w innych poza cmentarzami, palone wraz z zabudowaniami lub wrzucane do studni. Ofiary nie mają więc grobów, miejsca pogrzebania nie są oznakowane. Krzyże widoczne na fotografiach z ogromnymi trudnościami zostały postawione przez ocalałych Polaków po 1989 r. «ku pamięci», bo prawie wszystkie nie stoją na miejscach pochówków»* [15].

O formie wystawy napisała Ewa Siemaszko, która jest autorem jej scenariusza i tekstów [15, 16]. „*Przyjrzyjcie się Pań-*



Szkoła powszechna w Zagajach, fotografia z 16 czerwca 1937 roku

stwo hekatombie wołyńskich i małopolskich dzieci, wczuwając w ich położenie, w ich sierocy los, w jak strasznych okolicznościach poczuli, że są Polakami, zanim osiągnęli w pełni świadomość swej narodowościowej przynależności, jak wielkie poniżenie ich spotkało za to, że są Polakami. Nie płaczcie nad nimi, płaczcie nad tymi wszystkimi, którzy nie chcą uznać i powiedzieć: to było ludobójstwo. To losy tych dzieci z tablic wystawy krzyczą: ludobójstwo” [15]. Ten pogląd podzielają w znakomitej większości Polacy i niektórzy, niestety, wciąż będący w mniejszości Ukraińcy. Tymczasem art. II Konwencji o zapobieganiu i karaniu zbrodni ludobójstwa (uchwała Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 9 grudnia 1948 r.) swą treścią potwierdza, iż zdarzenia takie, jakie miały miejsce na Wołyniu i w Galicji Wschod-

niej były ludobójstwem [18]. Kuratorem wystawy jest Agnieszka Gorczyca, która ma także udział w opracowaniu koncepcji wystawy razem z Michałem Ruczyńskim i dr Marcinem Stefaniakem. Aranżacja graficzna została wykonana przez Kajtę Niklas i Ulę Zalejską-Smoleń ze studia Layoutexpress.

Premiera wystawy plenerowej odbyła się 10 lipca 2013 r. w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu przed siedzibą Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Następnie wystawa prezentowana była w wielu miastach, m. in. w Szczecinie, Rzeszowie, Sanoku, Krakowie, Katowicach, Gliwicach, Wrocławiu, Poznaniu i Łodzi. Od początku grudnia 2014 r. do końca stycznia 2015 r. wystawa była prezentowana przed Katedrą Niepokalanego Poczęcia NMP w Koszalinie.



Siostry Stadnickie, które w sierpniu 1943 r. wybronił przed zamordowaniem Ukrainiec w Kolonii Augustów

Przypisy:

[1] Władysław Siemaszko, Ewa Siemaszko, *Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945*, Tom I i II, Wydawnictwo von Borowiecky, Warszawa 2008, ISBN 978-83-60748-01-5.

[2] Grzegorz Motyka, *Plan: Wykarczować*, „Karta”, nr 46, 90-97, 2005.

[3] Barbara Odnous, *Lato 1943*, „Karta”, nr 46, 98-121, 2005.

[4] Aleksander Korman, *Ludobójstwo UPA na ludności polskiej. Dokumentacja fotograficzna*, Wyd. Nortom, Wrocław 2003. ISBN 83-85829-84-9.

[5] Władysław Filar, *Wydarzenia wołyńskie 1939-1944*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2008, ISBN 978-83-7441-884-3.

[6] Biuletyn IPN Pamięć.pl, 1943 Zbrodnie wołyńska, nr 6(15), 2013.

[7] *Rzeź wołyńska*, // <http://pl.wikipedia.org/wiki/Rze%C5%BAwo%C5%82y%C5%84ska> [dostęp: 02.01.2015].

[8] „Kurier Galicyjski” z 16 lipca – 15 sierpnia 2013, nr 13-14 (185-186) (kilka artykułów).

[9] Leon Popek, *Janowa Dolina (22/23 kwietnia 1943 r.) jeden z największych masowych mordów dokonanych przez podziemie banderowskie na polskiej ludności Wołynia*, „Wołanie z Wołynia”, 3(112), 20-23, 2013.

[10] Ks. Witold-Yosif Kovaliv, *Pamięć o Tajkuraach nie umiera*, „Wołanie z Wołynia”, 3(112), 43-46, 2013.

[11] „Wołanie z Wołynia”, 4(113), 2013 (kilka artykułów).

[12] Ks. Witold-Yosif Kovaliv, *Wspomnienie męczenników Wołynia*, „Wołanie z Wołynia”, 5(114), 13-18, 2013.

[13] Ks. Witold-Yosif Kovaliv, *Wołyńska rzeź – modlitewne wołanie o pojednanie polsko-ukraińskie*, 5(114), 21-29, 2013.

[14] Stanisław Żarczyński, *Opowieść o zbrodni w Brzezynie i losach mojej rodziny*, „Wołanie z Wołynia”, 5(114), 33-36, 2013.

[15] <http://wolyn1943.pl/category/aktualnosci/> [dostęp: 28.12.2014].

[16] <http://ipn.gov.pl/aktualnosci/2014/lodz/wystawa-plenerowa-wolyn-1943.-wolajaz-grobom,-ktorych-nie-ma-lodz,-20-pazdziernika-17-listopada-2014> [dostęp: 28.12.2014].

[17] Romuald Niedzielko, *Kresowa księga sprawiedliwych 1939–1945. O Ukraińcach ratujących Polaków poddanych eksterminacji przez OUN i UPA*, Warszawa 2007 (seria: „Studia i materiały”, t. 12); // <http://pamiec.pl/pa/biblioteka-cyfrowa/publikacje/12487.dok.html> [dostęp: 28.12.2014].

[18] *Konwencja o zapobieganiu i karaniu zbrodni ludobójstwa (Uchwała Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 9 grudnia 1948 r. w Nowym Jorku)*, art. II.

dr inż. Andrzej Żarczyński,
Fotografie Autora,
w tym wybranych materiałów
z wystawy



Literatura - Literepatypa

PRAWOSŁAWNY KRZYŻYK

– A co to za nowa moda, ha? – ofuknęła mnie matka. – Ja rychtuję, gotuję, a ten sobie nosem kręci.

Istotnie, zalewajki było po wręby talerza, a ja już odłożyłem łyżkę. Matka w czasie wojny należała do gospodyń przesadnie oszczędnych: lepiej chorować, jak się ma zmarnować. Zlewków kury nie zjedzą, a ostatniego kabanka zabrali nam Niemcy na kontyngent; żal było każdej łyżki zmarnowanej strawy. Milczałem nad talerzem, oganiając się od much.

– Może powiesz wreszcie, na coś się tak zaoskomił? Chyba nie na marcepany z kocim łojem? – zażartowała.

– Na pierogi! – odpaliłem przekornie.

– Ba, sama bym skosztowała. Nawet mam jeszcze w komorze schowany garniec pszennej mąki, parę jajek jest... Nu, ale z czym je ulepić? Fasola jeszcze zielona, mak biały...

– A choćby z wiśni.

– Ba, a skądże wisznie wziąć?

Mieliśmy ładne wiśnie w sadku koło domu, ale Niemcy kazali wyrąbać, bo im akurat zasłaniały wgląd na drogę.

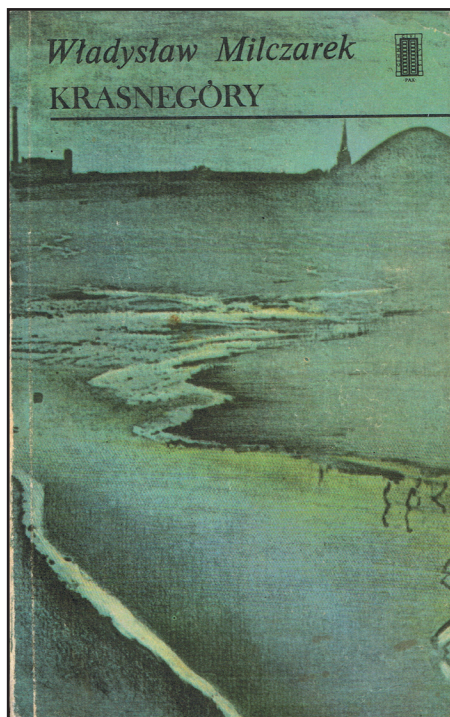
– A jakby tak w Krasnychgórach? – zaryzykowałem.

– Matko święta! – wykrzyknęła moja rodzicielka. – W Krasnychgórach? Straszno!

– W dzień straszno, co wy?

– Hm – zastanawiała się. Wypszczychawszy się, rzekła nie bez oporu: – Nu, popróbuj, jak chcesz, ale uważaj!

W Krasnychgórach była gajówka, a przy niej pasieka i ładny wiśniowy sad. W czterdziestym pierwszym gajowego wywieźli, pasiekę ludzie rozgrabili – sad pozostał. W chacie gajowego, ślepej, bez okien, wybebeszonej w środku do pu-



stych ścian, do gołej deski, zagnieździły się sowy płomykówki i nietoperze; koło chlewika lis wykopał sobie jamę. Ale wiśnie rodziły co roku piękny owoc, z którego najczęściej korzystały szpaki.

Wziąłem więc poręczny koszyczek pleciony z korzeni jałowca i poszedłem w Krasnegóry. Najbliżej mi było iść koło starego rosyjskiego fortu, potem dolinką obok półwyschniętej studni, jeszcze z I wojny światowej, i już człowiek w ciągu pół godziny był na miejscu.

Szedłem miedziami pośród zbóż, omijając rżyska, których zresztą było niewiele; ludzie do koszenia łapali sposobny czas, w obawie przed napadami bulbow-

Piatyhorce, wś, pow. ostrogski, na samej granicy pow. rówieńskiego, okr. pol. i gm. Zdobica, na pń.-zach. od Ostroga a pń.-zach. od Równego, posiada cerkiew paraf. i szkółkę wiejską. Nazwana dla tego, że leży na pięciu wzgórzach, choć Echarad w Dykeyonarzu wywozdi nazwę od „Konsystencyi tu niegdys chorağiwi petyhorców“. Jest tu ogromna wś, mająca glebę czarnoziemną. Włóscianie więcej jak zamożni, zajmują się uprawą roli, która ich trudy hojnie wynagradza. Niegdys własność ks. Ostrogskich, na mocy tranzakcyi kolbuszowskiej w 1753 r. darowana ks. Stanisławowi Lubomirskiemu, podstołemu koronnemu, dotychczas pozostaje w rodzie Lubomirskich. *Z. Róż.*

Piatyhorce – „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, t. VIII, s. 61.

ców, którzy podchodzili tu aż z Załasków, Kwaśiłowa Ruskiego albo nawet i z Białej Krynicy. Żniwarze zabierali ze sobą siekiery, widły, trafiały się także karabinki z obciętymi lufami i sowieckie nagany. W tych stronach zdobycie chleba często przyplącało się życiem.

Słoneczko było już popołudniowe, ale grało ostro. W krzemiennym jarze u podnóża Krasnychóg spłoszyłem rudego lisa, który wygrzewał się jak pies; zerknął na mnie i podyndał w przestale żyto. W jarze, który musiałem przejść wzdłuż, było duszno: mąciło się w głowie od zapachu rozkwiśconych dzikich róż i dojrzałych poziomek, zwarte ich kolonie oblepiały trawiaste zbocza. Zacząłem smykać cudownie smaczne jagódki, płosząc jaszczurki. Polne koniki trzaskały mi o nogawki spodni jak ziarnka prochu sypane na rozgrzaną blachę. Po przejściu jaru zacząłem się wspinać wijącą się ścieżką wyżej, do polanki, na której była gajówka. W leszczynowym gąszczu wywodziły swoje słodkie trele drozdy i kosy, a na klonach i dębach gruchały dzikie gołębie, stukały dzięcioły. Sroka na olsze zaczęła skrze-

zczyć na mój widok; zakląłem, bo sroka w lesie tak jak pies na podwórzu, zawsze uprzęda, że ktoś idzie.

Trochę się zasapałem, idąc zakosami pod górę, może dlatego zatraciłem poczucie niezbędnej w lesie ostrożności. Przed gajówką capnęli mnie...

Czytałem w książkach, że ludzie przed egzekucją płaczą, błagają o życie albo się modlą, albo kamienieją ze strachu. Ja należałem do tych ostatnich. Pewnie tak czuje się albo raczej wygląda żaba zahipnotyzowana przez węża. Kiedy nieco ocknąłem się po strasznym szoku, stwierdziłem, że jestem spętany jak koń; ręce mi wykręcili do tyłu i też związali konopnym końskim pętem. Musiała to być jakaś banda wracająca z nocnej wyprawy na polską kolonię; siedzieli na trawie obok wypchanych worków i tłumoków, jedli z czapek wiśnie, a pestki spluwali w moją stronę. Dochodziły do mnie strzępy rozmowy; domyślałem się, że radzą nad moim losem.

Położyli mnie związanego twarzą do ziemi, ciężko się oddychało, więc korzystając, że są mocno zaabsorbowani rozmową, przekręciłem się na bok; coś mnie załaskotało na piersi i przesunęło się pod pachę, jak strużka potu. Miałem na szyi srebrny krzyżyk zawieszony na łańcuszku z amerykańskiego złota. Z tym małym krzyżykiem związane jest bardzo ważne wydarzenie...

Przed wojną kochała się we mnie diakówna, czyli córka prawosławnego organisty albo po ichniemu: psalmisty. Szesnastoletnia dziewczyna – ruda jak wieiórka, o delikatnej cerze z lekkimi piegami, twarzy dość pospolitej, lecz pięknych oczach – zadurzyła się we mnie porywem pierwszej miłości. Jej oczy urzekały mnie, a może nawet zauroczyły – oczy wielkie, zielone z długimi rzęsami, które łaskotały wargi, gdy człowiek chciał pocałować. I

sama dziewczyna też była jeszcze „zielona”, do kawalerskich flirtów za młoda dla mnie. Zresztą w naszej kolonii było sporo ładnych dziewcząt, dojrzalszych i chętnych.

Lubiłem jej głos, niski, melodyjny. Przesiadywałem u niej w altance ogrodowej do późnego wieczoru. Starszy pan Tarnawski – ojciec Katii – przynosił nam w glinianej misie plaster miodu i życzył smacznego. A Katia śpiewała tęsknie:

*Tecze riczka newełyczka
z wiszniowoho sadu.
Kłyce kozak diwczynońku
sobi na poradu.
Hej hej, hej haj!
Zelenyj haaaj...*

Żał mi było tej dobrej, uczuciowej dziewczyny, że durzy się we mnie bez wzajemności, nie chciałem jej tego powiedzieć, bo tak mi było wygodnie, a przy tym obawiałem się, że pod wpływem egzaltacji mogłaby sobie coś zrobić. I ona też mi o miłości nic nie mówiła, ale wystarczyło spojrzeć na jej twarz, zajrzeć w jej oczy, gdy odchodziłem.

Starszy pan Tarnawski, który swe obowiązki cerkiewnego psalmisty odstąpił synowi, miał dużo czasu i lubił przesiadawać z nami. Wtedy na stole w altance zjawiał się mruzcący samowar, nakrycie do herbaty, kostki cukru w srebrnym koszyczku i pierniki miodowe, które wypiekała synowa, bo żonę pan Tarnawski już dawno pochował. Siedzieliśmy we troje i gawędziliśmy do późna, początkowo wśród rozgwaru pszczoł, potem przy cichutkiej muzyce komarów i pohukiwaniu sów na cerkiewnej wieży. W zależności od pory roku czuło się zapach ziół lub kwiatów; dla mnie najprzyjemniejszy był cierpki zapach chmielu.

Czasem przysiadł się do nas brat

Katii – dorodny mężczyzna z czarnymi brwiami zrosniętymi u nasady nosa, co nadawało mu trochę posępny wyraz.

Tarnawski junior ożenił się z piękną córką miejscowego popa, małżeństwo było bardzo szczęśliwe do urodzenia się pierwszego dziecka; Katia wyznała mi kiedyś w zaufaniu, że bratowa strasznie cierpi, ma bowiem niedorozwinięte sutki i nie może karmić niemowlaka piersią. Musi więc ściągać mleko, wskutek czego nabawiła się nerwicy, pokarm gorzknieje i szkodzi dziecku. Rzadko dotrzymywała nam towarzystwa, a jeśli już przysiadła się na chwilę, to wyczuwało się, że tylko z grzeczności; milczała pogrążona we własnych, niewesołych myślach.

Stary pan Tarnawski natomiast lubił gawędzić.

– Pan pewno nie wie – zaczął kiedyś rozmowę w księżycowy Wieczór przy samowarze – że my pochodzimy z Polaków. Ze szlachty podolskiej. Nasze dziady-pradziady mieli duże majątki na Podolu, ale wie pan z historii: Tatarzy i różna harańdzia paliły, brały w jasyr, trzeba było wykupu i tak nas skubano pomału. Potem nadszedł rok sześćdziesiąty trzeci, szykowano powstanie na Podolu, miał przyjść na pomoc jakiś Legion Polski z Turcji, pod dowództwem Zygmunta Miłkowskiego i nawet doszedł do Prutu, ale Rumuni nie puścili dalej. Wywiązała się bitwa, naszych było mało, więc ulegli – i tych Rumuni wydali Moskałom. A potem car przykręcił mocno śrubę i zaprowadził nowe wpisy do „dworiańskich knig”. Pan pewno nie wie, co to jest? To księgi stanu szlacheckiego. Za wpis trzeba było wpłacić sto rubli w złocie. Kto nie miał, przechodził do stanu włościańskiego i musiał chodzić do cerkwi, a jak się sprzeciwił, kozacy gnali nahajkami. Nasze dziady nie mieli stu rubli na wpis, no i jest to, co jest...

– Bat’ko! – wtrącił się młody Tarnawski. – Co było, to się dawno zmyło. Kogo to teraz obchodzi?

Młody Tarnawski w kwietniu dwudziestego roku siedł na Kijów z Drugą Dywizją Strzelców Siczowych pod dowództwem głównego atamana Semena Petlury. Wspomnienia bujnej młodości pozostały niu na całe życie; przesadnie akcentował swój nacjonalizm. Nawet zewnętrzne ściany cerkwi pomalowane były w żółto-niebieskie barwy. W izbie wisiał w dębowej ramce portret atamana – w zielonym mundurze z „trójzębem” na pancerze kołnierza w obramowaniu złotych laurowych liści. Przypuszczałem, że młody Tarnawski toleruje mnie tylko ze względu na siostrę, którą bardzo kochał.

W lipcu trzydziestego dziewiątego roku sołtys przyniósł mi „czarną” kartę powołania, a to znaczyło: „natychmiast!” Spakowałem się więc do drogi, pożegnałem z rodziną i sąsiadami i poszedłem. Myślałem, że trafi się jakaś furmanka, ale droga była pusta, zmierzch już zapadał, tylko skowronki jeszcze dzwoniły pod niebem, a w zbożach zwoływały się przepiórki. W środku drogi, przy dużym wyrobisku po glinie, gdzie Sejmik Powiatowy polecił założyć szkółkę topoli dla obsadzania dróg w gminie – stała Katia Tarnawska. Byłem tym mile zaskoczony; tyle dziewczyn szczyrzyło do mnie zęby, ale żadna nie wyszła, żeby się ze mną pożegnać.

Niewiele słów było między nami; uścisnąłem rękę i musnąłem wargami jej drżące usta. Obawiałem się, że dziewczyna zacznie płakać, a ja mam taką naturę, że płacz kobiet wyprowadza mnie z równowagi, czuję się głupio, nie wiem, co mam robić. Energicznie więc skręciłem w swoją stronę, ale Katia błyskawicznie przytrzymała mnie za łokieć.

– Miły mój – jęknęła. – Jeszcze troszeczki...

– Katia, ja muszę! – może powiedziałem to zbyt opryskliwie, bo oczy dziewczyny zaszklily się łzami. Pomyślałem ze złością:

No, tego jeszcze brakowało. Akurat znalazła czas na sentymenty.

– Ja tobie przyniesła mój krzyżek – zaczęła łamiącym się głosem. Będę się co dzień modliła. On ciebie uchroni od kuli. – Rozpięła mi kołnierzyk koszuli i zawiesiła krzyżek na szyi.

W domu zostawiłem srebrny medalik z Matką Boską Ostrobramską, bo nigdy go nie nosiłem, chyba jako dziecko. A teraz ten krzyżek, z poleceniem, że mam go stale nosić.

– Pamiętaj, miły, nigdy go nie zdejmuj, póki się wojna nie skończy.

W odpowiedzi przycisnąłem ją do piersi i zacząłem całować tym razem gorąco i szczerze: w rozpalone usta i w te wielkie zielone oczy przysłonięte łaskoczącymi rzęsami.

– Ja ciebie ljuuubie, straszennie – głos jej obniżył się o oktawę. – Nikogo tak nie lubiła i nie będę lubieć. Pamiętaj miły! Wracaj zdrowy z tej wojny! – odwróciła się i pędem pobiegła w stronę wsi. A ja nie oglądając się, trochę nawet zły – wydało mi się, że straciłem dużo czasu – ruszyłem długim krokiem przed siebie.

W Równem na takich bohaterów jak ja czekał już zarekwirowany autobus żydowski, kursujący między Równem a Łuckiem. Bilet kosztował pięć złotych – taniej niż pociągiem – ale ja tym razem miałem prawo za darmo, bo z kartą powołania. Któryś z chłopaków wziął ze sobą na wojnę akordeon, więc jechaliśmy z muzyką i śpiewem. Ponieważ większość miała skierowanie do lotnictwa, śpiewaliśmy zatem aż do ochrypnięcia piękny marsz lotników:

*A jeśli z nas
ktoś legnie wśród szaleńczych jazd,*

*czerveński będzie kwadrat –
nasz lotniczy znak.*

Znów pełny gaz,

bo cóż, że padła któraś z gwiazd,

gdą cała wnet eskadra pomknie na szlak!

Byłem kapralem-pilotem. Myślałem, że w Łucku wsadzą mnie na myśliwską „pezetelkę”, a tymczasem wielkie rozczarowanie: myśliwców brakowało nawet dla pilotów zawodowych. I tak miałem szczęście, że dostałem łącznikowy samolot RWD-8. Maszyna była wysłużona, silnik charczał, krztusił się, ale jakoś ciągnął. Inni, może nawet i lepsi ode mnie, pełnili służbę wartowniczą na łuckim lotnisku.

Krzyżyk Kati nosiłem na szyi obok aluminiowego znaczka rozpoznawczego z moim imieniem i nazwiskiem oraz wyznaniem: „R. Kat.”, datą urodzenia i numerem ewidencyjnym. Nawet byłem kontent, bo każdy z kolegów coś miał: szkaplerz, krzyżyk, medalik. A więc nie będę się wyróżniać w żołnierskiej rodzinie.

Jak zaczęła się wojna, latałem do Brześcia, potem utrzymywałem łączność z Baranowiczami, gdzie Niemcy już w pierwszych dniach rozwalili naszą radiostację. Zawsze latałem zgodnie z rozkazem, nisko, najczęściej nad lasami, żeby „zlewać się” z terenem. Wysoko latali Niemcy. Widywałem całe eskadry bombowców. Kiedyś skorciło mnie, żeby spróbować się z jakimś szkopem, byłem przecież szkolony na myśliwca. Ubolewałem, że „wojna się skończy, a ja ani razu nie wystrzele”. Wkrótce nadarzyła się sposobność. Leciał, sukinsyn, na jednym silniku – drugi jakby dymił, śmigło zwisało. Myślę sobie: „Podskoczę i dołożę mu!” Dodałem gazu i zaszedłem z góry, trochę z boku: rąbnąłem z kaemu, ale ten tylko zaczął pykać pojedynczo i zaraz zaciął się na amen. Pech! Koledzy mówili później, że wszystkie „erwudziaki” mają kaemy do powietrza, a

wmontowano je do kabin tylko dla lepszego samopoczucia pilotów.

Gorszego pecha miałem w czasie ostatniego lotu do Baranowicz; zestrzelili mnie nasi niedaleko lotniska, nad jakimś dworskim polem. Silnik zakrztusił się, zacharczał i stanął. Pomyślałem: „Bieda będzie z lądowaniem”. Ale jakoś psim śwędem udało mi się wyrównać maszynę i usiadłem na kartoflisku, wzdłuż bruzd, dzięki czemu uniknąłem kapotażu. Kadłub był zwichrowany, ogon rozbity, skrzydła nie sterowne. Trochę się potłukłem, z nosa ciekła mi krew, ale byłem żywy. Zanim się wyplątałem z kabiny, nadbiegła ta cholerna piechota, najezona bagnetami, gotowa już brać mnie na widelec jak szkopa. Zanim zdążyli mi dać po mordzie wrzasnąłem:

– Kogoście zestrzelili, skurwysyny!?

Jak przekonali się, że jestem Polakiem, widać było, że jest im bardzo głupio, a jeden z „zajaków”, to nawet zaczął płakać.

Już więcej nie latałem, bo i nie było na czym. Rozeszła się pogłoska, że personel lotniczy będzie ewakuowany do Rumunii; tam mają nadejść dla nas samoloty z Anglii. Wahałem się: „jechać – czy zostać?” Zwlekałem, nikt na siłę nie zmuszał. Zostałem. Zanim jednak wróciłem do domu, przeszedłem różne tarapaty; wykaraskałem się, bo znałem ukraiński jak polski.

Gdzieś w połowie października wróciłem do domu z głową zwieszoną jak zbity pies. Nie pokazywałem się ludziom na oczy. Wreszcie jakoś doszedłem do siebie. Postanowiłem odwiedzić Katię Tarnawską, ale jej już nie zastałem. Powiedziano mi, że wyjechała gdzieś z całą rodziną.

Jestem trochę przesądny, jak wszyscy ludzie z moich stron. Uwierzyłem, że krzyżyk Kati uratował mi życie podczas przymusowego lądowania, nie zdejmo wałem go więc z szyi. Matka kiedyś spytała mnie:

– A to, co takiego, ha? Ty wiarę swoją zmienił?

Teraz leżąc na trawie związany jak baran, czując ból na całym ciele, zapomniałem całkiem i o matce, i o tym małym krzyżyku.

Rezuny kłócili się głośno między sobą; zrozumiałem, że chodzi o podział „trofiejów”. Potem zaczęli rozprawiać o mnie, ale już półgłosem. Wiedziałem, że to nie przelewki, próbowałem się modlić, ale ze strachu, obłany zimnym potem, zapomniałem pacierza.

Dolatywały do mnie urwane zdania albo pojedyncze słowa, z których zacząłem układać mój horoskop:

– Bierzemy go?

– A k'czortu!

– Dać jemu sześć gram w zatyłek i niechaj tu ostanie. Lisy się pożywią.

– Szkoda patrona.

– Nu, to zakłuć cholere!

– Paćkać się w jusze Lacha?

– Nu, to hajda na postronek! – zawołał jeden z rezunów podrywając się na nogi.

– Ooo! – podtrzymali go inni.

Podeszło do mnie dwóch, rozpętali nogi, żeby łatwiej było doprowadzić do suchej gałęzi. Podtrzymywany pod ręce szedłem jak bosi po ściernisku. Nie byłem zdolny do żadnego myślenia, a nawet nie miałem do nich złości. Może trochę byłem głupio ciekawy: „*Jak oni to będą robić?*”

Na wybranym miejscu pod klonem, który z jednej strony miał duży, uschły konar, zdjęli mi z nóg niezłe jeszcze trzewiki i zaczęli gadkę:

– He! Ty skąd?

– Ze wsi. Tutejszy.

– Szpiegować przyszedł?

– Urwać trochę wiśni. Bo i tak ptaki objedzą.

– Nu, dajmy na to, że prawdę powie-

dział – zarechotał jeden z rezunów.

– Au Rydza-Smihłoho ty służył?

– Z poboru. Jak każdy.

– W jakiej formacji ty służył?

– W lotnictwie.

Zaryczeli śmiechem z dobrego żartu. A jeden, może ich watażka, powiedział:

– Niewysoko ty latał, jak chodzisz po ziemi. Nu, u nas polecisz ty wysoko! – i machnął ręką w stronę suchej gałęzi.

Jak mi założyli pętlę na szyję i koniec postronka przerzucili przez gałąź, na mgnienie oka całe życie przegalopowało mi przez głowę: przeżył człowiek, jakby nie było, te dwadzieścia kilka lat, a tu sekunda – i koniec. Jak na taśmie filmowej masz cały przegląd, a potem do ziemi i po wszystkich kłopotach, od których żywego tylko głowa boli.

Jeden z rezunów z wyglądu, w moich latach, ale trochę niższy wzrostem, za to taki sobie przysadzisty, widać fachowiec znający się na rzeczy, zaczął mi poprawiać pod brodą pętlę, żeby się lepiej zaciągnęła. Rozchełstał mi przy tym koszulę; amerykańskie złoto łańcuszka zabłyszczało mu jak prawdziwe. Szarpnął łańcuszka i zerwał. Kamraci natychmiast okrążyli go, a on trzymał na dłoni srebrny krzyżyk; przyjrzeni mu się z każdej strony, spoglądali na siebie niezdeterminowani.

– Ehe! – zawołał ten, co zerwał mi krzyżyk. – Gotowy już? Ta pociągaj Lacha! A ja jego tu za nogi przytrzymam, żeb równo szedł do nieba, do Matki Boskiej Częstochowskiej!

Ten, co miał podciągać postronek zawieszony na gałęzi, spojrział na watażkę, a może mi tylko tak się zdawało, ale główny rezun z parabelką na pasie, przewieszoną przez ramię jak u naczelnika, podszedł bliżej i zajrzał mi w oczy:

– Ty prawosławny? Milczałem.

Szturchnął mnie pod zebro:

– Nu, otwórz mordę i gadaj! Tylko nie

próbuj zdurzyć nas! Prawosławny czy katolik?

Nie powiedziałem „tak”, ale i nie zaprzeczyłem. Do tej pory, jak czasem najdzie na mnie czarna chwila – mam wyrzuty sumienia, że wyparłem się swojej wiary i narodowości.

„Wieszatiel” zarechotał:

– Ma szczęście, sukinsyn, bo już by dyndał. Nu, po mordzie i tak zasłużył – uderzył mnie w twarz z jednej strony, potem z drugiej; nie za mocno, ale tak w sam raz. Zadzwoniło w uszach i krew poczułem w gębie.

Puścili mnie wolno, krzyżyk Kati oddali, łańcuszek wzięli, bo pewnie pomyśleli, że to prawdziwe złoto. A na odchodne herszt pogroził:

– A seli rot zaperty, jak ne chcesz smerti! Ne buło tut nyczeho.

Jakoś uniknąłem śmierci, chociaż różnie bywało. Trudno o tym wspominać, bo jedni nie wierzą, inni myślą, że łżę. Czasem czytam wiersze Tarasa Szewczenki, żeby nie zapomnieć języka, którym równie dobrze posługiwałem się jak polskim, a moi starzy w domu mówili i tak, i siak. Co było złe, przetłumaczyłem sobie na dobre, i chwala Bogu, że człowiek nie ma do tego pamięci. Ale pierogów z wiśniami nie mogę zapomnieć! Na samą myśl – a mam na nie oskome – na sam widok pierogów z wiśniami polanych śmietaną, ślina mi się burzy w ustach i bliski jestem torsji.

Po wojnie szukałem Kati Tarnawskiej przez Polski Czerwony Krzyż. Powiedzieli mi, że zgłosiła się jakaś młoda pani, która wypytywała o mnie, podając moje dane personalne. A jak usłyszeli od niej, że byłem w lotnictwie, pocieszyli, że pewnie jeszcze jestem w Anglii i wrócić do kraju, bo już sporo polskich lotników powróciło.

Swego adresu Katia nie zostawiła, a może i zostawiła, tylko że mógł zaginąć,

bo w pierwszych latach po wojnie był wielki bałagan w ewidencji ludności. Prawosławny krzyżyk Kati Tarnawskiej trzymam do tej pory w kasetce z pamiątkami rodzinnymi, na jednym łańcuszku z medalikiem Matki Boskiej Ostrobramskiej, który dostałem od mojej chrzestnej matki, Natalii Zaborowskiej, niegdyś ochmistrzyni u książąt Lubomirskich.

Żyję znowu ustabilizowanym życiem; niby dobrze mi, ale niegdyś było weselej. Napływają czasem słodką falą dawne wspomnienia, wdycham cierpki, oszalałmający zapach kwitnącego chmielu, którego tu nie ma. Bezwiednie zaczynam nuścić:

*Tecze riczka newelyczka
z wiszniowoho sadu...*

Żona prosi:

– Przestań, na miłość boską! Przecież ty nie masz ani słuchu, ani głosu!

– Tecze riczka newelyczka...

Władysław Milczarek

Fragment powieści Władysława Milczarka pt. „Krasnegóry”, Warszawa 1980, s. 106-115.



Написали до нас - Написали до нас

SZKICE POLSKO-ŻYDOWSKIE



Wnętrze Synagogi w Ostrogu

Fot. Antoni Sodula

Okazją do napisania tego tekstu stały się odwiedziny w niedawno otwartym Muzeum Żydów Polskich w Warszawie. Nie tylko uroda plastyczna scenografii poruszają zwiedzającego. Pewna otwartość aranżacji przestrzeni i wielogłosowość narracji zachęcają do snucia refleksji własnych, dorzucenia swojego spojrzenia, wykraczającego poza muzealne ramy.

Każdy przychodzi z bagażem własnych doświadczeń. Jeśli chodzi o mnie, to przyprowadziły mnie tam trzy rzeczy. Po pierwsze pociąga mnie i urzeka ojczyzna Chrystusa, Kościół jest piękno-

ścią; Żydzi mówią: „świętość jest pięknem”, więc Kościół jest dla mnie i jednym i drugim, a jego korzenie mocno wyrastają z gleby judaizmu. Jak powiedział o Piśmie Świętym Brandstaetter: „*Bóg napisał o sobie powieść w dwóch częściach*”, nic więc dziwnego, że dotykając śladów historii Żydów na naszych ziemiach, niejako dotykam również rodzinnych śladów Boga. Po drugie, przyprowadziła mnie historia własnej polsko - żydowskiej rodziny, przy czym ta druga jej połowa jeszcze raz rozdzieliła się na część i polską, i żydowską, a obie wywodzą się z Wołynia i Podola, w jej dalszych korzeniach z Pokucia. Na Kresach więc czuję się jak w domu, a przecież krajobraz, w którym najbardziej „widzę” Żydów to właśnie Wołyń, Podole, Pokucie i takie też często bywa, choć oczywiście nie wyłącznie, otoczenie portretowanych. Trzecia rzecz to lektury, tak kiedyś bliskie sercu, że nie potrafię już czasem oddzielić tego, co wyczytałam od tego, co stanowiło moja historię; tak czy inaczej budowało duchowy krajobraz.

NIEOSTYGLA HISTORIA

Najpierw więc ułamki relacji, forma reportażowa.

Zamglony las, do którego schodzimy z głównego poziomu budynku, rozdzielonego aż do pułapu piaskowymi wywiniętymi ścianami, jakby falami Morza Czerwonego, ma charakter raczej mityczny, to wyobrażona ilustracja zanotowanego spojrzenia żydowskiego kupca wjeżdżającego do Polski w XI wieku. Pozostawił za sobą kraje prześladowań, krucjat, epidemii dżumy.

Polska, Polin – po hebrajsku: Tutaj od-pocznij.

Mijamy sale określone tematyką migracji i stopniowego, od XI aż do początku wieku XVI osiedlania się rzemieślników, kupców, mincerzy, kredytodawców na ziemiach Korony i Litwy. Wytworne kontury średniowiecza, wyraziste barwy ubiorów piętnastowiecznych mieszczan i szlachty: biele, ugry, zieleń, ceglaste czerwienie na tle piaskowych ścian. Ożywiona efektami świetlnymi makieta krakowskiego Kazimierza, z obrazkowymi dopowiedzeniami dostępnymi w komputerowo animowanych skrzyneczkach – szkatułkach. Piękna, dająca odczucie ładu i harmonii scenografia. Koniec XVI stulecia – z około stu tysięcy rzeszą żydowską zamieszkującą rozległe ziemie I Rzeczypospolitej: „paradisus Judeorum” – raj dla Żydów. Złoty wiek kultury polskiej oraz zamożności żydowskiej (wyeksponowany wątek rodziny Fiszlów, królewskich bankierów i lekarzy), rozkwit myśli religijnej. Odnajduję nazwiska i portrety wybitnych nauczycieli: rabina Jakuba Polaka z jesziwy w Krakowie, Salomona Lurii z Ostroga i Lublina. W Kazimierzu zaś Mojżesz Isserles zwany Remu pisał komentarze do kodyfikacji prawa halahicznego Józefa Karo, czytane do dzisiaj.

Wiedza historyczna budowana jest poprzez wypowiedzi konkretnych osób. Z bliska więc stajemy się świadkami ucierania się form współpracy wyrażającej się nadaniami, sporami, wyrokami sądowymi, przywilejami, najważniejsze z nich określone zostały datami 1364 i 1388 na obszarze Litwy. Najciekawsze są jednak właśnie owe głosy będące doraźnym komentarzem, czy zapisem obserwacji. Swoją zwięzłą lapidarnością przywodzą na myśl poezję, zmieniają się w metaforę, komentarz człowieczego losu. Wśród nich szczególnie porusza napominający głos włodarza biorący w obronę Żydów ze względu na wiarę chrześcijańską. Rzadko natomiast napotykamy w Muzeum praw-

dziwe eksponaty. Stanowią one jakby inkrustację tej narracyjnej aranżacji, takim „klejnocikiem” jest np. brakteat, trzynastowieczna moneta hebrajska.

Tutaj wybiegnę poza muzealną opowieść.

Kiedy w Jerozolimie przysłuchiwałam się szorstkiej hebrajszczyźnie moich przyrodnich wujków ze strony mamy, wyłowiałam swojsko brzmiące słowa „kapusta” i „pierogi”. Byłam zrazu przekonana, że to zapamiętane przez nich słowa mojej Babciny Leny, która pochodziła ze Lwowa i mieszkając po wojnie w Izraelu nigdy nie nauczyła się języka hebrajskiego. Teraz wiem, że te słowa weszły do hebrajskiego już w XIV i XV w, kiedy to Żydzi, żyjący w niewielkich jeszcze skupiskach posługiwali się językami słowiańskimi.

Już w dalszej części wystawy, dotyczącej czasów porozbiorowych, a zwłaszcza przedwojennych, bogatych w wydarzenia społeczne i dzieła kultury znalazłam wątki mówiące o procesach integracyjnych. Spacerując po zrekonstruowanej przedwojennej ulicy umiejscowionej prawie dokładnie na dawnej ulicy Zamenhofa, zerkając na wielość tytułów prasy żydowskiej w języku polskim, przysiadając przy stoliku zrekonstruowanej Małej Ziemiańskiej, zastanawiałam się, dlaczego jakoś „nie widzę” w tym środowisku Babciny Leny, której nie znałam, ale o której wiem, że tęskniła w Izraelu za swoim Lwowem i kazała synom czytać „Pana Tadeusza” i „Quo vadis”. To chyba przede wszystkim Lwów był jej ojczyzną.

PODRÓŻE

Kolejne wieki ukonkretniają wizję. Z radością odnajduję ryciny miast kresowych w ich dziewiętnastowiecznych wizerunkach utrwalonych przez Napoleona Orde – Żółkiew, Krzemieniec, Czortków, Kamieniec Podolski...Te widoki powodują bicie serca – Krzemieniec: Li-



Aron ha-kodesz w Synagodze w Lucku

Fot. Kresy.pl

ceum Krzemienieckie, Juliusz Słowacki, tragiczny poeta Zygmunt Jan Rumel, syn obu Matek-Ojczyzn, polskiej i ukraińskiej, cmentarze ukryte wśród wzgórz porośniętych lasami: Tunicki, Bazyliański, prawosławny, żydowski. Błądziliśmy po nich dwa lata temu w zapadającym sierpniowym zmroku, szukając nagrobków Salomei Becu i dawnych profesorów Liceum, a znaleźliśmy pomnik upamiętniający pomordowanych przedwojennych profesorów odrodzonego Liceum i 2500 mieszkańców. Góra Krzyżowa, na której Niemcy dokonywali egzekucji i Polaków, i Żydów. Góra z ruinami zamku królowej Bony. Tragicznie wydłupione okolice Krzemieńca, gdzie tylko puste pola świadczą o męczeńskiej śmierci z rąk ukraińskich nacjonalistów dawnych mieszkańców powiatu. Ale i śpiewność mowy gościnnej Ukrainki, u której mieszkaliśmy. Niedawno jeszcze pani Ire-

na Sandecka, organistka, podziemna nauczycielka języka polskiego i religii, na której grobie postawiliśmy znicze, a dzisiaj to pani Maria Kamińska, którą mieliśmy okazję poznać rok wcześniej, organizuje życie Polaków. W powiecie krzemienieckim były też osady wojskowych z I wojny, a w jednej z nich, nieznaney mi z nazwy, dom brata Babci Marii Titarenko, z domu Kucharskiej. Los jego pozostał nieznanym. Krzemieniec to też oczywiście kościół parafialny. W lewej nawie znajduje się pomnik Juliusza Słowackiego z czarnego marmuru dłuta Wacława Szymanowskiego. Zastygła w płynnym ruchu sylwetka zamyślonego poety, nad nim kładący dłoń na ramieniu anioł w rycerskim szyszaku i zbroi. Jak odczytywane są i co dzisiaj mówią mieszkańcom wyryte w marmurze słowa: „*Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei*”? Co jeszcze pamiętam z tego miasta? Stare, zaniedbane domy dawniej polskie i żydowskie, i przygaszone, zmęczone twarze przechodniów, schodzących rano do pracy krętymi, urokliwymi uliczkami...pozarastane bujną zielenią ogrody. Od naszej gospodyni przywiozłam nasionka kwiatów, które teraz kwitną u nas w ogródku.

Czortków – zilustrowany w Muzeum jedną litografią przedstawiającą ruiny zamku na wysokim brzegu Seretu wpadającego nieopodal do Dniestru. Tego samego, który w skalistym jarze owija swoim nurtem Kamieniec Podolski. Budowniczym zamku, podobnie fundatorem klasztoru dominikanów, ważnego dla katolicyzmu tej kresowej stolicy był wojewoda podolski Stanisław Golski. W dawnych wiekach przed obrazem Matki Bożej Różańcowej „*Strażniczki Rzeczypospolitej*” wojsko przed bitwami wielokrotnie wysłuchiwało Mszy św. polowych, zanim wizerunek znalazł się po wojnie w warszawskim kościele pw. św. Jacka. W domu

moich Rodziców wisiała przepiękna kolorowana litografia przedstawiająca taką właśnie Mszę, ksiądz w ornacie przy ołtarzu i kłęczące wokół na śniegu wojsko w rycerskich strojach, husaria... Obrona polskości w 1919 roku i Korpus Ochrony Pogranicza, dawna gmina żydowska, ale i powstanie czortkowskie z przełomu 1939/1940 roku, może i lekkomyślnie wywołane przez harcerzy, nie mających rozeznania sytuacji na froncie, utopione przez Sowietów we krwi. Ci, którzy przeżyli, otrzymali długie wyroki zesłania na Syberię. Dziś – prężnie działająca szkoła niedzielna języka polskiego prowadzona przez panią Marię Pustelnik; sala wyposażona, jak słyszałam, w piękne mebelki, w której młodzież rozwija swoją wiedzę o kulturze polskiej, a czasem poznaje język przodków, przyjeżdża na konkursy do Krakowa. Żółkiew...

Dlaczego piszę o polskich motywach przy okazji tematów żydowskich? Czy to nie na miejscu? Marzy mi się jakaś muzealna paralela, sąsiedztwo wizji dwóch muzeów, polskiego i żydowskiego, które poskutkuje czymś najzwyczajniejszym. Może strudzeni wielokilometrowym zwiedzaniem – wędrowcy – zasiądną na koniec przy szklance piwa, by pogadać ze wzruszeniem o starych i nowych dziejach... Bo jeśli mówić o czymś ważniejszym, niż samo poznawanie wiedzy na tematy przeszłe, jeśli chcesz odnajdywać mosty, to tylko w postawie dialogu, ciągle dotykając żywych łączy...

WSPOMNIENIA

Dwa lata temu pan Jan Szejka wprowadził nas po Czerniowcach, iście europejskim mieście dawnej Galicji, zamieszkałym niegdyś przez Polaków, Węgrów, Austriaków, Rumunów, Żydów i Niemców. Kiedy powitał nas na placu koło teatru, nie mogłam wyjść ze zdumienia: przed nami pięknie odnowiony, niemal bliź-

niaczy wobec naszego toruńskiego, teatr. Rzeczywiście, to ślad działalności w Galicji i na naszych terenach na przełomie wieków duetu architektów wiedeńskich Fellner i Helmer. Podobieństwo architektury... Kiedy zaglądać do żydowskich synagog, czasem ich wnętrza przypominają kościoły. Kopia naturalnych wymiarów drewnianej synagogi z Gwoźdźca na Ukrainie, zajmująca serce budynku Muzeum Żydów Polskich, gdy weszłam do wnętrza, przywiodła mi na myśl inne wnętrza XVII. wiecznej drewnianej cerkwi grekokatolickiej w Drohobyczu. Podobnie barwne, jakby ludowe malunki, tylko w tej drugiej figuratywnie, kaligraficznie doskonale, jak zdobienia kołomyjskiej pisanki, wypełniają całą powierzchnię obu świątyń. Nie wiem, gdzie dokładnie leży ów Gwoździec (bardzo brakuje tej informacji!), ale właśnie po stylu zdobienia domyślałam się, że może na Pokuciu. Podobnie, liście akantu z aron-ha-kodesz, drewnianej skrzyni skrywającej ród, najświętszego miejsca w synagodze – jeden z nielicznych prawdziwych eksponatów w Muzeum-mogłyby zdobić jakąś nastawę ołtarzową... Wtedy, w Czerniowcach, zwiedzaliśmy dawny Pałac Metropolitanów Bukowińskich i stare miasto, a na jego skraju niebiesko pomalowany dom – miejsce podpisania układu między Piłsudskim a Petlurą, obecnie mieszczący bibliotekę. Stanęliśmy także obok starego zboru ewangelickiego... Kiedy ewangelicy nosili się z zamiarem jego budowy, a nie było ich zbyt wielu, coś około dwustu, wszystkie nacje złożyły się na to, żeby budynek mógł powstać. Taka była czerniowska solidarność. Pan Jan powtarzał: „*Boże, jakie to moje miasto jest piękne!*” Nasz przewodnik wspominał, że sam pytał swojego ojca Władysława, czy nie było sporów między tyłoma narodowościami. – „*Nu, były spory międzynarodowe... Ja jednemu Rumunu tak mordę natrzaskał*

za Twoju Mamu Helenkę...”. A Babcia Antonina zapytana, dlaczego Czerniowce nie były zniszczone w czasie obu wojen (a przecież nie tak odległy Stanisławów spotkał zupełnie inny los), odpowiedziała: „Ty nie wiesz? Tu Pan Bóg miał swoje apartamenty”.

Krajobraz i głębsze odczucie sakralności losu w tym, a nie innym miejscu zamieszkiwania. Wyławiałam w Muzeum okrucy takiej wrażliwości.

LITERATURA

Stanisław Vincenz, autor huculskiej epopei „*Na wysokiej poloninie*” i „*Spotkań z chasydami*” często mówi o roli krajobrazu swojej bliższej – choć tak rozległej! – ojczyzny w tworzeniu wewnętrznego krajobrazu wiary – wiary różnych religii. Przytoczmy skądinąd dowcipnie brzmiącą rozmowę Vincenza z chasydzkim uczniem przedwojennej szkoły rabinackiej w Bełzie, jaką obaj panowie prowadzili w czasie wojennej wędrówki przez Węgry: „*Najwięcej mnie pociąga literatura rosyjska i literatura polska, rosyjska – Dostojewski i Tolstoj – to sprawy ludzkie, a polska, to sprawy religijne*”. „*A które z dzieł z literatury polskiej?*” – zapytałem. Zięba wyliczał bez zająknięcia: „*Wielki Megid, Słowa samego Baal Szem Towa, Mendel z Witebska, Nachman z Braclawia i inni*” („*Qu'une larme dans l'océan, Tematy żydowskie*”, Wyd. Atext Gdańsk, s. 99)

Byłam z mężem w Bełzie: małe nadgraniczne miasteczko, ostatecznie pozbawione nadziei w 1951 roku po stalinowskiej korekcie granic, z ruinami potężnego klasztoru dominikanów, spalonego przez UPĄ i zamkniętym jeszcze przez Austriaków klasztorom dominikanek, kościołem fundowanym przez Zofię Chodkiewiczównę. Kaplica św. Walentego z czczoną już trzecią kopią jasnogórskiego wizerunku, otoczona jest pięknymi zadbanym ogro-

dem kwiatowym – choć rzymskich katolików w mieście już nie ma. Spotkaliśmy starszego pana pochylającego się nad rabatkami. – „Po pracy nie ma co robić, to i przychodzę, żeby było ładnie...”. W zeszłym roku był na pieszej pielgrzymce na Jasną Górę, dołączył do grupy z Tomaszowa Lubelskiego. Na kirkucie ohel jednego z rabinów dynastii cadyków Rokeach, kilka ocalałych macew. Nie mogliśmy na cmentarz wejść, zamknięty na kłódkę. Mimo wybudowania przez żydowską gminę swojego domu spotkań i kawałka drogi dojazdowej – miasteczko sprawia wrażenie umierającego.

PANORAMA

Jest takie miejsce w Muzeum, które olśniło mnie po prostu, a właściwie w przedziwny sposób nałożyło się na wspomnienia, wśród których nie potrafię już rozdzielić tego, co było wynikiem lektury, wewnętrznej intuicji czy zapamiętanych z wczesnego dzieciństwa obrazów „*Dawnych Mistrzów*”. Miejsce, które natychmiast sprawiło, że poczułam się niejako jak w domu.

To przesuwały się z wolna w panoramicznym ujęciu krajobraz brzegu rzeki – może Dniestru, Seretu, a może Czeremoszu i nad nim zarejestrowane jakby ruchem kamery ułamki dawnego nadbrzeżnego życia, tożsamego dla Rusinów, Polaków i Żydów. Postacie wieśniaków, pasterzy, zwróconych twarzą do rzeki, wpatrzonych w nurt, stojących samotnie lub w małych grupkach, woły; koza skubiąca trawę na wzniesionym lekko brzegu...bardzo skromne domostwa. Z drugiej strony łagodnie wznoszące się wzgórza – pogórze karpackie? Nad rzeką polatują ptaki, a cała przestrzeń pogłębiona jest iluzją trójwymiarowości, choć zachowuje zarazem płaskość delikatnego rysunku. Wszystkie figury i sama rzeka jakby wycięte ze starych rycin, i lekko pokolorowane, domi-

nują pastelowe szarości, lekki błękit, żółć i wypłowiła zieleń: sprawiają wrażenie realistycznych, ale zarazem pogrążone w metaforze; parabola ludzkiego losu, tak udatnie budowana w Muzeum. Kontury jak ze starych obrazów oglądanych w albumach dawnego malarstwa w dzieciństwie. Tam małe drobne postacie tła krajobrazu, tu wydobyte na pierwszy plan. Co jest przyczyną wolnego rytmu przesuwających się widoków? Mam wrażenie, że jest to rytm żydowskich konnych wozów zwanych bałagulami, wożących przygodnych mieszkańców Pokucia – Rusinów, Polaków i Żydów z Kołomyi do Kut, ale właściwie po całym tym rozległym obszarze Podkarpacia. Żydowski woźnica, „nie porzuca lekkomyślnie krajobrazu”, jak pisał o nim autor „Spotkań z chasydami”. I zauważał przedziwny związek między uważnym dostrzeganiem spraw bliźnich a powolnym przemieszczaniem się w krajobrazie: „Mistrzowie patrzenia i mistrzowie słuchania nigdy nie powinni inaczej jeździć, jak bałagulami”. Bjumen Petrancker, duchowy szef „mistrzów konia” ma wia: „*кто попѣди, зламие карк, а кто zostanie, ten jeden zostanie. Niższy od prochu, dlatego wygra*”. („Bałaguly”, w: „*Tematy żydowskie*”, s. 151). Te słowa należy czytać pamiętając jak doniosłe znaczenie odgrywa u chasydów postać Ostatniego, który swoją służbą ofiarną, Abodą, zawraca wszystkich grzeszników do Pana, jest tym, kto pobudza Mesjasza do przyścia, wzbudza Boże Miłosierdzie. Zresztą, przywołując z przeszłości duchowych mistrzów – znanych chasydzkich rabinów, Bjumen traktuje ich, jakby byli obecni tuż obok, w realnym pejzażu okolic Krzyworówni i Kołomyi. – „*Co znaczy umarł? Mnie opowiada. Kiedy zaskrzypi brama na rynku kosowskim, to każdy widzi, jak drepcze Bercunio. (...) Co za różnica, on przedtem i teraz – taki sam. I niesie ciężki sagan mleka, aby każdego napoić*”. (tam-

że, s. 153-154) Vincenz nazywa takiego nieśpiesznego woźnicę „kłopotnikiem”. To człowiek, który „nie tylko ma dużo trosk własnych, ale chętnie i gorliwie obarcza się kłopotami. Kłopoty rodziny, sąsiadów, swojej gminy, powiatu, swego narodu, kłopoty świata” (Tamże, s. 140). Bałagula do każdego podróżnika zwraca się w jego języku, potrafi doradzić, rozweselić. Senior kołomyjskich woźniców snuje rozważania na temat wiary zupełnie zwyczajnie, tak, jakby opowiadał o rzeczach dostępnych zmysłom, leżących tuż obok, w zasięgu ręki. Chasyd i cadyk posiadają w nich rysy kłopotnika, a ten pełen jest miłosierdzia i pokory. „*Ostatni cadyk jest tylko największy kłopotnik. Niecierpliwy, gorący – mówi Bercunio – co kogo zaboli, jego boli podwójnie. Kłopoty świata zalewają go. Iz tego on cierpliwy*” (161, T. Ż.) Bałagula jest w kreacji Vincenza obrazem chasyda przez swoje uczynki miłosierdzia, ale i życzliwość wobec bliźnich, humor i radość życia. Ten przedziwny splot sakralności – i realizmu – boć to forma reportażu – sacrum i profanum, naturalny w patrzeniu na Polaków, Hucułów, bohaterów Homera i Dantego, filozofów starożytności szczególnie mocno oświetla sens i wymiar wzajemnych związków polsko-żydowskich. Stanowi doskonałe wprowadzenie w świat chasydów, z którymi stykał się autor w młodości. Z wieloma z nich się przyjaźnił, a o innych dowiadywał się z ustnej domowej tradycji od zaprzyjaźnionych Hucułów. Znaczenie prozy Vincenza w przekazywaniu tradycji chasydzkiej jest też ważne literacko – zapisuje on bowiem legendy chasydzkie, szczególnie ciekawe jeśli chodzi o wątki apokaliptyczne, w postaci możliwie wiernej oryginałowi, w wersji zasłyszanej od samych chasydów oraz ich huculskich sąsiadów, będąc wrażliwym na wpływ lokalnego folkloru polsko-rusińskiego. Obrazy płaczącego na końcu świata Pana,

plaszcza chmurowego, którym jest okryty, a który w tym najważniejszym momencie tryska „deszczem świecących łez” musi być bliski wielu. „Chmurowy płaszcz rozciągnął się w przejrzystą, świecącą sieć. Z niej zleciały roje czarnozłotych pszczoł, zbierały deszcz łez, każdą kropelkę, i obladowane wracały ku sieci”. To wizja z „Samaela w niebie”, pomieszczonego w wyżej cytowanych „Tematach żydowskich”. Płacz miłosierdzia powoduje odnowienie całego świata, w którym – a jest to wizja niebiańska – Ostatni staje się pierwszym. Mówi Ostatni: „Panie ojców moich (...) od deszczu Waszych łez rozzieleniłem się w jednej chwili, a od chwili kiedy zobaczyłem, jak Wasz płaszcz się uśmiecha, jestem młodzieńki zielony konik polny. (...) A teraz co? Już się nie stracham, chcę skakać, chcę tańczyć, chcę wędrować po światach niebieskich, bo tam mnie jeszcze nie widzieli. (...) Proszę Was o wędrowkę. Teraz rozumiem: «Podziw dla Przedwiecznego wchłania bojaźń, a ufność Weń na małym palcu umieszcza cały ocean Pana»” („Samael w niebie”, w: „Tematy żydowskie”, s. 195). Swoją drogą...krople łez Pańskich zbierane przez pszczoły zawracające z nimi do Ojca z chasydzkiej hagady zapisanej przez autora – katolika i śmierć jako „pszczoła Nieśmiertelności, / Która wraca do ula / Z ciężką kropla miodu” z wiersza poety judeochrześcijanina Romana Brandstaettera o śmierci Jana XXIII być może więcej by nam mogły powiedzieć o wzajemnym wspólnym „sakralnym podglebiu” niż niejeden tekst naukowy.

Nie jest łatwo pisać o tak intymnych sprawach jak wyobraźnia religijna. A jeszcze trudniej może przypuszczać, że tak różne tradycje mogą budować przestrzeń dialogu, przyjaźni pełnej wzajemnego zaciekawienia, i co więcej, radości. A jednak tak właśnie dzieje się w piśarstwie, ale i w doświadczeniu życiowym Vincenza. Dla nas jest to też moż-

liwość wniknięcia w świat duchowy chasydów, oglądany okiem epika dbającego o realizm, ale i okiem katolika, zdolnego odsłonić swoją własną ufnością treść wiary synów Abrahama. Ich otwarcie na „goim” ma bowiem podłoże nie tylko sąsiedzkie, ekonomiczne, o czym tak ładnie opowiada wystawa, umocowane jest wysoko, bo w wierze. Stary Abram w „Bałagulah” mówi do podróżnych w drodze pod Jasienowem: „Ten ostatni cadyk, to wcale nie musi być Żyd. (...) W Tosefet Sanhedrin stoi wyraźnie: «Także chasidim spośród goim zajmą miejsca w przyszłym świecie» Będą współnikami” (161). Co prawda na wystawie są informacje na temat chasydów wraz z ich duchowym założycielem Izraelem Ben Eliezerem, zwanym Baal Szem Towem, w skrócie Beszem, ale tak podane, że nie możemy wejrzeć ani w duchowe wnętrze, ani w owe więzi międzywyznaniowe, tak akcentowane przez epika Huculszczyzny.

Jeszcze inna scena w Muzeum, typowa dla małego kresowego miasteczka czy wsi przyciągnęła moją uwagę: stara karczma, przed nią Żyd nalewający klientowi piwo czy wódkę, w tle faktura kiersko wyglądającego muru. Drewniany stół z gęsią, ciekawie umieszczone objaśnienia kulinarne. Ręką arendarza zdaje się poruszać mechanizm Bożonarodzeniowej szopki. Znowu, przy litograficznie dokładnym rysunku, uwypuklającym konkretny rodzaj przenośni.

Przypominają mi się w tym momencie strofy „Słowa o koniach” Józefa Łobodowskiego, który tak malował obrazy dawnej karczmy na Wołyniu:

„W gromadzie bujnych dziewczuch
i krzepkich chłopaków
ślepiec kłęczny na ziemi, wiatr mu siwa
brodę
rozwiewa przed świątecznie wsłuchanym
narodem.
Ręka na klawiaturze, nim melodie

znajdzie,
chwile błądzi, aż duma odwieczna
o Bajdzie,
o kaniowskim staroście, o złotych
żupanach
smuje się i zacicha. Rzesza zasłuchana
stoi, dziad jedną ręką brząka na harmonii,
a w drugiej stara czapka miedziakami
dzwoni.

(...)

Gorzalka krwią zakwita w rozpalonych
twarzach,
gniewem wzbiera, lub ręce zaplata
na szyjach.
Chłop chłopu dłoń wstrzymuje,
przymierza, przybija,
na gospodarską zgodę i na dni szczęśliwe.
Gęsto krążą butelki z siwuchą i piwem,
szorstka ręka w dno butli, korek
w sufit strzela.
Tak rodzą się kontrakty, spółki i wesela”.

Stanisław Vincenz kilkakrotnie wspomina o zdarzeniu, które spowodowało, że stał się wrażliwym przyjacielem chasydzkiego świata, jego opisywaczem. Pewnego wieczora, kiedy był mały, w dniu żydowskiego święta „*Sądny Dzień*”, wracał do domu z nianią i młodszą siostrą ze spaceru do Żydowskiego Kamienia nad Waratynem, w pobliżu górnego Czeremoszu w Karpatach Wschodnich. Zaintrygowany odświętnym tego dnia strojem arendarza Ajzyka zajrzał przez okno do wnętrza jasno oświetlonego żydowskiego domu modlitwy. Widok pokrażonych w ekstazy modlitwie chasydów, głośno łkających, wołających i poruszających się tanecznie, w tym starego domownika Ajzyka, zrobił na nim „*oszałamiające*” wrażenie, chociaż niania odciągnęła go szybko od okna.

Wspomnę w tym momencie swoje zektnięcie z taką właśnie modlitwą. Było to u stóp świętej dla Izraelitów góry Meron, jedynej w Izraelu, poza Hermonem, na

której czasem przez jeden, dwa dni leży śnieg. Pojechaliliśmy tam z wujkiem Chaimem. Z drugiej strony góry rozciąga się święte miasteczko szesnasto - i siedemnastowiecznych mistyków i kabalistów, Safed. U podnóża dom modlitwy zawierający prastary grobowiec czczonego rabina Szymona Bar Jochaja, autora kabalistycznej księgi Zohar. Weszłam z przygotowaną świeczką do części kobiecej. Rozgardiasz, odrapane ściany pomalowane niebieską olejną farbą, dzieci głośno rozmawiające i jedzące. Modlące się niewiasty. Jedna z nich, młodsza znacznie ode mnie, podeszła do ściany, na której wypisane były słowa modlitwy. Patrzyłam poruszona, jak je całowała, łkając i modląc się kołyszącym rytmem całego ciała.

Żydowski poeta Nuchim Bomse z Sasowa, miasteczka znanego z tradycji chasydzkich i haftu srebrnych kwiatów-ozdoby tałesów, przyjaźnił się ze Stanisławem Vincenzem. To właśnie na prośbę tego ostatniego Czesław Miłosz przełożył spisany prozą z jidysz piękny, tętnący modlitewnym spokojem wiersz „*Modlitwa mojej matki przed zmrokiem*”. O innym wierszu przyjaciela, Vincenz pisze, że przedstawia żydowskiego chłopca, „*gdy stoi nasłuchując pod murem cmentarnym przed kościołem, jakby zaklęty przez czar modlitw chrześcijańskich*” (Tenże, „*Z perspektywy podróży*”, s. 51, Znak, Kraków 1980).

O innym spotkaniu z odmienną wiarą, również w towarzystwie niani, tym razem w tarnowskiej katedrze wspomina w „*Kręgu biblijnym*” Roman Brandstaetter. Wnętrze kościoła, widok rozmodlonych wiernych, krucyfiks do dziś wiązający na zewnętrznej ścianie prezbiterium stały się dla żydowskiego chłopca przyczyną duchowych poszukiwań, źródłem przemiany, której szczyt nastąpił wiele lat później w Jerozolimie podczas „*nocy mistycznej*”, pełnej duchowego światła. W

efekcie tej duchowej łaski poeta przyjął po wojnie chrzest. Jeszcze o innym „*zagłądaniu przez okno*” tego autora chciałabym wspomnieć. Tym razem młody poeta w 1946 roku błądził w gorące i senne południe uliczkami wspomnianego wyżej Safedu w Palestynie. Przyciągnięty słowami śpiewnej modlitwy, zajrzał do wnętrza jesziwy. Widok żydowskiego chłopca pogrążonego w kantylacyjnym modlitewnym zaśpiewie, przeżywającego tu i teraz biblijne spotkanie Jakuba i Racheli przy studni zrobił na nim ogromne wrażenie. „*Głos recytatora drżał, mienił się niezliczoną ilością najcieplejszych barw, iskrzył się, perlił i płynął łagodnym, melodyjnym strumieniem. Ten głos był pełen tęsknoty za czymś, co musi się wypełnić. Ale nie było w nim zmysłowej ekstazy (...). I wtedy nagle przy słowach «I pocałował Jakub Rachelę» głos czytającego spotężniał, rozpalil się ognistym żarem i... załamał. Rozległo się ciche, przejmujące łkanie. (...) Idąc pod górę stromymi schodami, pomyślałem, że tak prawdopodobnie wyglądał Jakub, gdy ujrzał Rachelę u studni(...)*” („*Krag biblijny i franciszkański*”, Wydawnictwo M, Kraków 2004, s. 130). Dodam nawiasem ciekawostkę; miasteczko Safed pojawia się również w kontekście Beszta. Legendy podtrzymywane również przez Huculów mówią o tajemnym płazie – korytarzu wiodącym z jaskini nad Czeremoszem, pod Pisanym Kamieniem, gdzie Mistrz Dobrego Imienia zwykł medytować – do miasta mistyków w Ziemi Świętej. Tamtędy miał jako by wędrować, tam i z powrotem w ciągu jednej nocy.

Późniejsze tłumaczenia fragmentów Starego i Nowego Testamentu autora „*Pieśni o moim Chrystusie*” należą do najgłębszych i najpiękniejszych w literaturze polskiej. Powieść „*Jezus z Nazaretu*” zostanie zgłoszona przez rektora UJ

prof. Józefa Gierowskiego do literackiej Nagrody Nobla, jednakże śmierć poety w 1987 roku uczyni staranie bezowocnym... „*Bo jest utajone i niewidzialne, / Czyli rzeczywiste*”. ...JEST... poeta na wiele różnych sposobów oświetla realność i wielkość tego słowa, skrywającego Obecno Pana. Próżno chyba jednak szukać na wystawie brzmienia tej wielkiej modlitwy, może poza nagraniem śpiewu Gerszona Siroty, głównego kantora synagogi na Tłomackiem. Jest też ładna animacja wnętrza jesziwy z XIX wieku, wypełnionej studiującymi Talmud uczniami w otoczeniu swojego mistrza. Można przysiąść przy drewnianej ławeczce i podumać. Daremnie jednak rozglądać się za nazwiskiem Stanisława Vincenza. Poza jedną okładką Roman Brandstaetter również jest nieobecny, więc i jego poezje, po które tak wielu sięga szukając głębszego wyrazu swojej wiary.

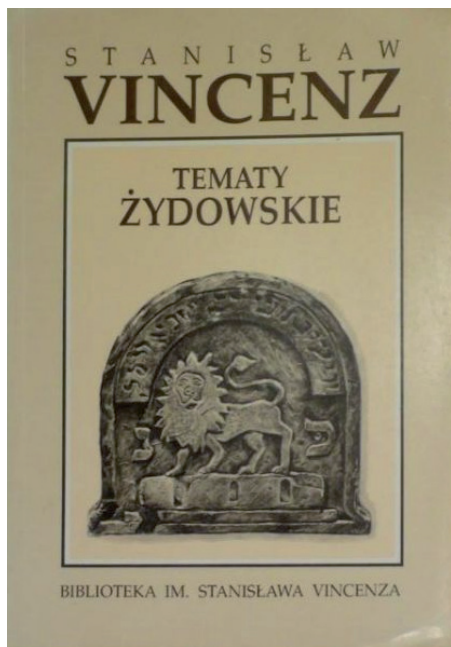
Gwoli uzupełnienia dodam, że prowadząc szkolny teatr również i ja kilka razy sięgałam do twórczości autora „*Pieśni o moim Chrystusie*”. W „*Życiorysie własnym Boga*” w kulminacyjnej scenie młody aktor wykonuje taniec z rodalami wzniesionymi wysoko nad głową (dwie ma długimi żerdziami, owiniętymi granatową płachtą) do muzyki zespołu „Kroke”. Pamiętam, że występowaliśmy wówczas w auli UAM w Poznaniu przed biskupem Gądeckim. Lekcje tańca żydowskiego, potrzebnego w wyobrażonej scenie ślubu Maryi i Józefa młodzież pobierała na kursach tańca liturgicznego w Duszpasterstwie Akademickim u Jezuitów w Toruniu. Najważniejsza końcowa scena to Mała Apokalipsa św. Mateusza. „*Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych... Mnieście uczynili*”.

W czasie naszej wołyńsko-podolskiej wyprawy zajechaliśmy w 2010 roku do Brodów, miasta słynnego ongi z tradycji

wyrabiania szlacheckich pasów, jarmarków i dysput różnych szkół myśli żydowskiej, które odbijały się szerokim echem w całym kraju. Szczególnie silna w pewnym czasie była tu opozycja antychasydzka. Zwiedziliśmy rynek, ruiny siedemnastowiecznej twierdzy Stanisława Koniecpolskiego. Choć niewiele pozostało z fortecy otoczonej niegdyś dziesięcioma basztami, z zamkiem, to jeszcze dziś robi wrażenie. Nawiasem mówiąc podobną twierdzą były Okopy Świętej Trójcy, kojarzone przede wszystkim z „*Nieboską komedią*”, ale jest to też miejsce urodzin Beszta (niektóre źródła podają jednak, że urodził się w Międzybożu). Pierwszy szaniec zaprojektował ten sam architekt, co w Brodach, Wilhelm le Vasseur de Beauplan, a twierdzę trzymającą Turków w ryzach rozbudował hetman Stanisław Jabłonowski wg. projektu Tylmana z Gameren. Pozostał po niej tylko kikut w malowniczych widłach Dniestru i Zbruczu. ...Staliśmy na wysokim w tamtym miejscu zboczku Dniestru, patrząc na lekko meandrujący bieg rzeki i szerokie krajobrazy za nią. Niewysłowienie piękne pejzaże, pełne jakiegos głębokiego pokoju. Jeśli odwróciło się na pięcie, po kilkudziesięciu, może stu metrach, stawało się na bardziej płaskim brzegu Zbruczu. Dwadzieścia kilometrów dalej na tureckim niegdyś brzegu, jak dawniej mówiono – turecczyźnie – stoi jakże piękny zamek w Chocimiu, a również w pobliżu, po tej samej czyli lachkiej stronie Dniestru, ostatnia kresowa stacja, od dawna już pozostająca w ruinie: zamek w Żwańcu. Pamiętam takie wspomnienie rodzinne Jerzego Stempowskiego, jak to jego dziad, ostatni dowódca polskiej załogi przesyłał przez rzekę z tureckim baszą chocimskiej fortecy okolicznościowe podarunki i serdeczne liściki. Zamki i fortece... Izrael ben Eliezer zwany później Besztem wywędrował najpierw z Okopów, a potem z Brodów, zamienia-

jąc bezpieczne w miarę życie blisko warowni na karpackie odosobnienie. Wybrał drogę modlitwy i radosnej wdzięczności Bogu za otrzymane dobrodziejstwa, otworzył drzwi serca na „*swobodę tajemną*”, świat przyrody i współczucie dla wszystkiego co żyje... Jeszcze jedno wspomnienie z Okopów, które jakoś w przedziwny sposób dopowiada być może klimat tamtych wyborów sprzed prawie trzystu lat. W odnawianym po spaleniu ludności polskiej w 1943 przez UPA kościele (po raz pierwszy Rosjanie spalili w nim Konfederatów Barskich Pułaskiego) pw. Trójcy Przenajświętszej – na rusztowaniach pracowali ukraińscy robotnicy – słuchałam przejmujących słów ks. Romana Twaroga z kamienieckiej Katedry o roli różańca, który w czasie panowania tureckiego w XVII wieku był odmawiany po domach na Podolu. „*Gdyby nie ta nieustająca nowenna trwająca 28 lat, chodzilibyśmy w tureckich turbanach!*” Tak samo jest i dziś, mówił proboszcz z Kamieńca Podolskiego: „*To nie wasze składki i wycieczki ratują wiarę. Uratowała ją modlitwa i ciężka praca tych najprostszych, najbiedniejszych parafian, którzy wozili taczki z ceglami na odnowienie Katedry*”.

...Wówczas, w Brodach odwiedziliśmy jeszcze cmentarz żydowski. Na wielkim kirkucie odnalazłam na macewie nazwisko rodzinne Goldenstein wypisane na odwrocie łacińskimi literami. W pobliżu centrum miasta na rozległym placu niedaleko rynku rozłożona jest w postaci potężnej jeszcze ruiny Stara Synagoga. Grube mury otoczone wiankiem podwójnej attyki. Podobna jest do tej z Żółkwi, przedstawionej zresztą na starej litografii na wystawie w warszawskim Muzeum. Wokół brzydka komunistyczna zabudowa, ani jeden dom żydowski nie ocalał. Zagląдалиśmy do środka ze wszystkich stron grubych murów, wdrapując się do wysokich okien, bo pragnęliśmy zobaczyć ja-



kieś szczególnie monumentalnego wnętrza tonącego w mroku. Niestety niczego nie udało się dojrzeć poza cieniem ogromnego sklepienia. Prawie biały gołąb przefrunął ponad gruzami przez całe wnętrze od drugiej strony i przysiadł na oknie. Moi dziadkowie ze strony Mamy modlili się w tej synagodze, a początkowo mieszkali, zdaje się, nieopodal, przy tzw. Małej Synagodze. W jednym pokoiku stałe paliła się świeczka na pamiątkę przodka, Bal-Szem-Towa, założyciela polskiego chasydyzmu. Zbigniew Herbert pisał o jego prawnuku:

*„może by mi poradził
rabi Nachman
ale jak mam go znaleźć
wśród tylu popiołów”*

Próbuję wyobrazić sobie ten świat, oglądając w Muzeum obrazy życia dawnych Żydów, zwłaszcza w pokazanych elementach krajobrazu, wśród którego

płynęła do Boga radosna modlitwa ludzi ubogich, patrząc na rzeczy niepokazane: te przybliżyła mi literatura bardziej, niż wystawa.

Niedawno zdarzyło się, że siedzieliśmy wraz z mężem przy stole na przeciwko pewnego rabina w czasie uroczystego bankietu. Zagadnęłam o źródłach hebrajski słowa „kamień”, podzieliłam się widzeniem Herberta tych rzeczy...Ale rozmowa nie kleiła się, miałam wrażenie, że rozmówcy wygłaszają przemówienia, niezupełnie patrząc, czy druga strona słucha. Było to raczej ciężkie doświadczenie. Jakże daleko do Vincenzowskiego pełnego ufności dialogu.

Pisał Stanisław Vincenz o swojej karpackiej ojczyźnie: *„...Jakże bezpiecznie czuje się dziecko wyrastające w kraju, którego rok za rokiem strzegą takie modlitwy, nawet jeśli są to modlitwy innej religii. Przez stulecia wznosił się szmer tych modlitw ku niebu-teraz zamilkł. Czy zabrzmi kiedy znowu? I czy brzmiała w nim obca nadzieja czy nasza własna?”*

Roman Brandstaetter pisząc o tajemnicy Chleba Żywego, Eucharystii, w *„Litaniach eucharystycznej”* wiązał niejako niebo i ziemię:

„Chleb psalmiczny, / ...Chleb umarły / ...Chleb zmartwychwstały / ...Chleb Galilei, / Chleb wniebowzięty / ... Chleb naszego zbawienia”.

Jeszcze inna żydowska nazwa Polski: Polanya: tutaj mieszka Bóg.

Maria Kalas



Święci wołyńscy - Волинські святи

KS. STANISŁAW ZIĘTARA MĘCZENNIK ŚWIĘTEJ ZIEMI WOŁYŃSKIEJ

Ks. Stanisław Ziętara urodził się 14 marca 1886 r. w małowicznej górskiej okolicy w wiosce Biskupice Radłowskie, obecnie powiat tarnowski, woj. małopolskie. Wzrastał w rodzinie chłopskiej Józefa i Katarzyny Ziętarów na terenie wsi Mędrzechów w parafii Bolesław, którzy ciężko pracowali na swoje utrzymanie. Był najstarszym wśród rodzeństwa, miał dwóch braci i siostrę. Cały ciężar opieki na młodszym rodzeństwem spadł na jego barki, ale rodzinne troski nie zachmurzyły miłości do Pana Boga, którą odczuwał od samego dzieciństwa.

Był ministrantem przy miejscowym kościele, później modlił się codziennie o powołanie, a następnie spotkał kapłana (niestety nie znamy jego imienia i nazwiska), który ukierunkował i odczuł wielką przyszłość młodego chłopca. W wieku 14 lat młody Stanisław utracił ojca, którego zamienia mu sam Pan Bóg, ponieważ w dalszym życiu tak układają się okoliczności życia, że tylko tak można to ocenić.

Mając 21 lat, w 1907 r. wstąpił do nowicjatu Towarzystwa Salezjańskiego w miejscowości Radna (Słowenia). Nowicjat kończy ślubami w Oświęcimiu, gdzie przebywa do 1912 roku. Boża Opatrzność pomaga mu wstąpić na wydział teologiczny uniwersytetu w Turynie (Włochy), a następnie studiować na różnych uczelniach – m.in. dwa lata studiuje teologię w Foglizzo. Święcenia kapłańskie otrzymuje w Tortoli na Sardynii.

W 1918 r. jego ukochana Polska uzyskała niepodległość. W 1920 r. powrócił



Ks. Stanisław Ziętara

Fot. Archiwum

do Polski i do 1925 r. pracował w szkołach salezjańskich w Oświęcimiu, Kielcach, Warszawie i Wilnie. Następnie opuścił Towarzystwo Salezjańskie i inkardynował się do diecezji łuckiej.

Rozumiejąc, że posiada dostateczny poziom wiedzy koniecznej do hartowania patriotycznych i religijnych przekonań młodzieńczych i dziecięcych dusz Polaków, wyrusza na niespokojną, ale razem Świętą Ziemię Wołyńską. Tam na Kresach Wschodnich, gdzie przetoczyła

się wojna z bolszewikami ks. Stanisław Ziętara znalazł swoje wielkie powołanie.

Wykłada słowo Boże w różnych zakątkach Wołynia. Pracował w Młynowie, Radowie (od 1933 roku), Satyrowie oraz w Równem, gdzie zamieszkał w lipcu 1937 r. i tutaj zastała go wojna, a następnie aresztowanie. Jego adres również był następujący: ul. Dąbrowskiego 36 (obecna ulica Jawornickiego). Ostatnim miejscem pracy, gdzie ks. Stanisław był katechetą, było Gimnazjum im. Sienkiewicza. Był też kapelanem pomocniczym więzienia w Równem. Ks. Wacław Hipsz, z którym pracował z ks. Stanisław Ziętara w latach 1930-1935 w dekanacie dubieńskim, wspomina Go jako „*mądrego, inteligentnego księdza i wysokiego formatu polityka*”.

Przeglądając i czytając wielokrotnie akta sprawy ks. Stanisława Ziętary nie można zrozumieć za co, a przede wszystkim dlaczego został on przez Sowietów aresztowany, a następnie rozstrzelany. Wiadać ci nieludscy oprawcy – ci sami, którzy mordowali też najlepszych synów Polski w Katyniu, Miednoje, Bykowni, Dubnie, Ostrogu – nie mogli dopuścić, żeby prowadzili oni swój naród z godnością, gdyż byli oni prawdziwymi patriotami swojego państwa. Takim wielkim patriotą był też i ks. Stanisław Ziętara.

Mieszkanie ks. Stanisława Ziętary, w którym zbierali się katolicy Równego i okolicy, od czasu przyścia Sowietów w 1939 r., stało się ośrodkiem duchowości. Do aresztowania w dniu 22 kwietnia 1940 r., po którym już nie wyszedł na wolność, był dwa razy zatrzymywany, co utrudniało mu nieść Słowo Boże opuszczonym i zagubionym ludziom, ale On nie poszedł na żaden kompromis z bolszewikami. Za to i pewnie został stracony. Pomagał wszystkim potrzebującym. W aktach jego sprawy jest świadectwo, że przeby-

wał u niego ranny polski oficer. W Jego małym mieszkaniu, które składało się z dwóch niewielkich pokoiów, znaleźli schronienie siostra i brat generała Mariana Januszajtisa, Anna i Tadeusz Januszajtis. Sam generał jesienią 1939 r. był aresztowany przez Sowietów we Lwowie. Nb Tadeusz Januszajtis był przykutym do łóżka.

Ks. Stanisław Ziętara jeszcze przed wojną miał dobre stosunki z wieloma ludźmi ówczesnego Wołynia. Przyjaźnił się z ks. Marianem Tokarzewskim, który był kapelanem marszałka Józefa Piłsudskiego, a później wznosił kościół w Kowlu. Z gen. Marianem Januszajtisem mógł się wówczas zapoznać, bo generał w latach trzydziestych XX wieku był członkiem Związku Osadników Wojskowych oraz działał na Wołyniu w Stronnictwie Narodowym. W zbiorach Instytutu Polskiego i Muzeum Generała Sikorskiego w Londynie zachowała się fotografia przedstawiająca ks. S. Ziętara z rodziną gen. Mariana Januszajtisa w majątku Szyły na Wołyniu, zrobione ok. 1928 roku. Te szerokie znajomości i jego patriotyczna postawa sprawiła, że nazwisko ks. Ziętary (jak wspomina ks. Wacław Hipsz) od początku wojny było na liście proskrypcyjnej NKWD, wśród tych, których należało unieszkodliwić, jako tzw. wrogów ludów.

Ciekawym jest fakt, że kiedy został aresztowany, to o ks. Stanisława Ziętary zatrzymano aż: 1) pieniędzy sowieckich na sumę 84 rubli; 2) polskich papierowych znaków płatniczych na sumę 70,- złotych; 3) polskich monet niklowych na sumę jednego rubla. Zabrano mu także maszynę do pisania i typograf (coś na podobieństwo dzisiejszego kserografu), które to rzeczy prawdopodobnie okazały się fatalne w jego sprawie, bo przez enkawudzystów ich posiadanie było uważane za śmiertelne niebezpieczeństwo. Wszystko to razem z niezłomnością i wielkim pa-

triotyzmem doprowadziło do rozstrzelania kapłana.

W aktach sprawy, które liczą 404 strony, nie ma śladów żadnej zdrady ani świadczona przeciwko komuś. Wszystko to mówi o niezłomności ducha ze strony ks. Ziętary i świadczy o męczeńskiej śmierci kapłana. Boży proces jest przed nim.

Razem z ks. Stanisławem Ziętarą było sądzonych dwóch innych Polaków: Witold Zdzisław Lazurek (ur. w 1919 roku) i Eugeniusza Miaskowskiego (ur. w 1916 roku). Rozprawa sądowa odbyła się w dniu 13 grudnia 1940 r. przed Obwodowym Sądem Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Na drugi dzień, 14 grudnia 1940 r. zapadł wyrok skazujący ks. Stanisława Ziętarę i dwudziestoletniego Witolda Lazurka na rozstrzelanie, a Eugeniusza Miaskowskiego na 8 lat zesłania do poprawczego obozu pracy. Ci młodzi chłopcy tak samo bohatersko przeszli przez więzienia NKWD. Wyrokiem Sądu Obwodowego w Równem ks. Stanisław Ziętara został skazany na najwyższą miarę kary – śmierć przez rozstrzelanie.

W uzasadnieniu wyroku czytamy: „Ziętara Stanisław s. Józefa negatywnie nastawiony do Związku Radzieckiego, jeszcze przed przyjściem władzy radzieckiej na te ziemie, prowadził propagandę nacjonalistyczno-kontrrewolucyjną przeciw Związkowi Radzieckiemu, nie ukrywając swojej nienawiści. Od pierwszych dni ustanowienia radzieckiej władzy w Zachodniej Ukrainie aktywnie uczestniczył w stworzeniu kontrrewolucyjnej organizacji, przyjmując u siebie antyradziecko nastawione osoby, sprzyjał nielegalnemu przejściu przez granicę do Niemiec wydając fikcyjne zaświadczenia. Ziętara u siebie w domu prowadził spotkania kierowników lwowsko-warszawskiego kontrrewolucyjnego centrum. (...) Prowadził werbowanie nowych członków i wśród ludno-



Ks. Stanisław Ziętara z rodziną generała Mariana Januszajtisa w majątku Szyły na Wołyniu

Fot. IPMS w Londynie

ści propagował antyradzieckie poglądy i wymysły”.

Wyrok sądu został wykonany w dniu 8 kwietnia 1941 roku. W aktach sprawy umieszczone jest świadectwo śmierci, datowane 19 kwietnia 1941 r., które podaje konstatację faktu śmierci ks. Stanisława Ziętary i Witolda Lazurka oraz że „nieboszczycy zostali przekazani ziemi”. Niestety niewiadomo gdzie zostali pochowani, możemy tylko o tym snuć przypuszczenia.

Sprawiedliwość ludzka zwyciężyła dopiero po upływie ponad 50 lat. Ks. Stanisław Ziętara został rehabilitowany w dniu 29 czerwca 1993 roku przez Sąd Najwyższy Ukrainy. Tym razem w orzeczeniu Sądu czytamy: „W sprawie nie ma w ogóle ugruntowanych dowodów potwierdzających winę oskarżonego. Nie było konieczności nie tylko rozstrzelania, ale wynoszenia przeciwko księdzu Ziętarze bądźjakiego oskarżenia kryminalnego”.

Jesteśmy głęboko przekonani, że ksiądz Stanisław Ziętara zasługuje na to, aby został przez Kościół Katolicki uznany za męczennika Świętej Ziemi Wołyńskiej.

**Jarosław Kowalczuk
ks. Witold-Yosif Kowaliv**



Biskupi łuccy - Луцькі єпископи

CYRYL LUBOWIDZKI

1897 – 1898

Cyryl Lubowidzki urodził się 21 lipca 1823 w Drochowej (Drochowie, Drohowie, Druchowie) w parafii berezneńskiej (diecezja łucka) jako syn Ignacego i Tekli z Podhoreckich (Pohoreckich). Pochodził z rodu Lubowieckich (Lubowidzkich) herbu Kuszaba vel Paprzyca, wywodzącego się z Lubowca w powiecie lipieńskim. Po początkowych naukach domowych kształcił się w gimnazjum w Żytomierzu, po czym jako czternastolatek wstąpił w r. 1837 do seminarium duchownego w Łucku (w rok później otrzymał sakrament bierzmowania). Jego ówczesny rektor (regens), ks. Wiktor Ożarowski (wnuk niesławnej pamięci hetmana Piotra Ożarowskiego), dostrzegł w młodym alumnie zdolności w kierunku nauki i wyjednał u biskupa Piwnickiego zgodę na wysłanie go do Wilna, dla odbycia tamże studiów teologicznych. Rozpoczął je Lubowidzki w r. 1841, lecz już w rok później przyszło mu się przenieść wraz z wileńską Akademią Duchowną do Sankt Petersburga. Tam też, 22 czerwca 1845, uzyskał stopień magistra teologii (w tym samym dniu, co starszy o prawie cztery lata Szymon Marcin Kozłowski).

Zarekomendowany przez rektora petersburskiej akademii, ks. Ignacego Hołowińskiego (późniejszego metropolitę mohylewskiego), został po powrocie do macierzystej diecezji ustanowiony 11 października 1845 profesorem teologii dogmatycznej w seminarium duchownym w Żytomierzu – mimo iż był tylko klerykiem niższych święceń. Na kapłana wyświęcony został dopiero po ukończeniu 24 lat – dnia 12 września 1847 w kościele pou-



Ks. Cyryl Lubowidzki jako biskup pomocniczy łucki żytomierski

Rys. Andrzeja Zajkowskiego

gustiańskim w Wilnie, przez, miejscowego sufragana Kazimierza Dmochowskiego, zaledwie w roku następnym wyniesionego na stolicę metropolitalną w Mohylewie, który też uprzednio udzielił mu święceń subdiakonatu (20 marca 1847) i diakonatu (3 kwietnia 1847).

W seminarium żytomierskim pracował ks. Lubowidzki nieprzerwanie przez 31 lat – do chwili jego przymusowego zamknięcie w r. 1876 (15 listopada). Doświadczał też w tym okresie stałej życzliwości ze strony rządzącego od r. 1848 połączonymi diecezjami biskupa Kaspra Borowskiego, jego niegdysiejszego profesora historii Kościoła i prawa kanonicznego w Akademii Duchownej. Tenże pasterz powołał go wpraw 5 października

1850 na kanonika honorowego, a 8 grudnia 1855 na kanonika gremialnego (i wicekustosza) kapituły katedralnej żytomierskiej. On też ustanowił Lubowidzkiego w r. 1856 wizytatorem seminarium diecezjalnego, którym ów był przez 16 lat – do r. 1874, kiedy to został członkiem konsystorza biskupiego i wizytatorem z kolei klasztorów w diecezji. Oprócz pracy dydaktycznej (kleryków nauczał obok teologii dogmatycznej także katechizmu, rytuału i śpiewu kościelnego, jak również opiekował się biblioteką seminaryjną) i kurialnej, udzielał się przyszły pasterz w duszpasterstwie, wpraw jako proboszcz w Kotelni (1857-1859), a po piętnastoletniej przerwie – na analogicznej funkcji w Winnicy na Podolu, która zachował aż do nominacji biskupiej (1874-1884). Z kolei w strukturach kapituły katedralnej awansował kolejno na scholastyka (1861), kantora (1864) i archidiacona (1866), by na koniec osiągnąć w r. 1876 prałaturę dziekana. Jako taki obrany został 9 lipca 1878 deputatem kapitulnym do Rzymskokatolickiego Kolegium Duchownego w Sankt Petersburgu, nim jednak nastąpiło nieodzowne zatwierdzenie ze strony zwierzchności świeckiej, obrany został 5 września t.r. przez kapitułę administratorem diecezji w miejsce zmarłego ks. prałata Maksymiliana Roszkowskiego. Po uprzedniej akceptacji tego wyboru przez władze rządowe, dnia 13 listopada 1878 udzielona została ks. Lubowidzkiemu misja kanoniczna ze strony Stolicy Apostolskiej, która powierzyła mu równocześnie zarząd diecezji kamienieckiej.

Jako administratorowi udało mu się m.in. uzyskać od cesarza Aleksandra II decyzję o reaktywowaniu zamkniętego od r. 1876 seminarium diecezjalnego (5 stycznia 1881), które faktycznie wznowiło swą działalność dnia 29 listopada 1881. Wówczas też przeprowadzono renowację

gmachu seminaryjnego w Żytomierzu. W sprawach powierzonych jego pieczy diecezji nie wahał się ks. Cyryl Lubowidzki udać się wprost do organów rządowych w Sankt Petersburgu, by bezpośrednio u najwyższych władz Imperium Rosyjskiego zabiegać o realizację wysuwanych postulatów. Po niespełna pięciu latach administrowania przyszło mu w dniu 1 lipca 1885 witać nowego pasterza diecezji łuckiej i żytomierskiej, biskupa Szymona Marcina Kozłowskiego (swego przyjaciela z czasów studiów w petersburskiej Akademii Duchownej), na którego ręce zdał wówczas rządy.

Staraniem tegoż ordynariusza sześćdziesięcioletni ks. Cyryl Lubowidzki powołany został w r. 1884 na nie obsadzany już od dziesięciu lat urząd sufragana łucko-żytomierskiego (poprzednik, biskup Ludwik Bartłomiej Brynk, zmarł 19 września 1874). Na konsystorzu w dniu 24 marca 1884 papież Leon XIII prekonizował go biskupem tytularnym Dulma i pomocniczym dla Łucka i Żytomierza (na tym samym konsystorzu nominacje uzyskali również czterej inni sufragani dla katolickich diecezji w Imperium Rosyjskim: płocki Henryk Piotr Kossowski, warszawski Kazimierz Ruszkiewicz, wrocławski Karol Polner i żmudzki Antoni Baranowski). Konsekracja nominata odbyła się 29 czerwca 1884 w kościele św. Katarzyny Aleksandryjskiej w Sanki Petersburgu, a dopełnił jej metropolita mohylewski Aleksander Kazimierz Gintowt-Dziewałtowski wspólnie z ordynariuszem łucko-żytomierskim Szymonem Marcinem Kozłowskim i sufraganiem tyraspolskim Antonim Janem Zerrem.

Posługa biskupia Cyryla Lubowidzkiego w macierzystej diecezji trwać miała czternaście lat. Wraz z rokiem 1892 na powrót objął on administrację obu biskupstw w związku z wyniesieniem do-



**Bp Antoni Jan Zerr, konsekrowany
przez bpa Cyryła Lubowidzkiego
w dniu 29 czerwca 1884 roku**

Fot. Archiwum

tychczasowego ordynariusza na stolicę metropolitalną w Mohylewie. Obowiązki administratora sprawował przez cały okres wakatu, który tym razem potrwał pięć lat (1892-1897). Ostatecznie dnia

30 stycznia 1897 dotychczasowy tytułariusz Dulma (Almissa), liczący sobie bez mała 74 lata, prekonizowany został – po uprzedniej zgodzie władz carskich – ordynariuszem łucko-żytomierskim. Okazało się jednak, iż były to już ostatnie miesiące jego życia (na który to czas przypadł zresztą jubileusz 50-lecia kapłaństwa sędziwego pasterza). W niespełna półtora roku od swego wyniesienia do godności ordynariusza, w czwartek 9 czerwca 1898, na który przypadła uroczystość Bożego Ciała, zmarł biskup Cyryl Lubowidzki po długich cierpieniach w swej rezydencji biskupiej w Żytomierzu. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w miejscowej katedrze św. Zofii 14 czerwca 1898, w którym to dniu kanonicy katedralni dokonali też wyboru wikariusza kapitulnego na czas wakatu w osobie tamtejszego sufragana, prekonizowanego przed niespełna rokiem biskupa Bolesława Hieronima Kłopotowskiego.

Krzysztof Rafał Prokop

[Krzysztof Rafał Prokop, „Sylwetki biskupów łuckich”, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 160-164.]

Wiadomość prasowa o śmierci biskupa:

Ś.p. ks. biskup Lubowidzki.

W Żytomierzu zmarł Ś.p. ks. Cyryl Lubowidzki, biskup dyjecezyi łucko-żytomierskiej, urodzony w r. 1823 we wsi Drochowa, dyjecezyi łuckiej, z rodziców Ignacego i Tekli z Podhoreckich; zgasły dostojnik kościoła był najstarszy wiekiem z pośród biskupów. Ukończywszy Akademię petersburską, jeszcze jako kleryk wołany został na profesora dogmatyki do seminarjum dyjecezyjalnego, gdzie przebywał do roku 1874, a przez kilkanaście lat ostatnich był jego inspektorem. W r. 1877 ks. Lubowidzki został prałatem w Łucku i proboszczem w Żytomierzu. W roku 1879 po śmierci administratora dyjecezyi ks. Roszkowskiego kapituła łucko-żytomierska obrała ks. Lubowidzkiego jego następcą, na której to godności potwierdzony został. W 1891 po wyniesieniu biskupa Żytomierskiego ks. S. Kozłowskiego na stolicę Arcybiskupią, ks. Lubowidzki objął administrację dyjecezyi. Ogólny szacunek i miłość powszechna otaczały zgasłego biskupa aż do zgonu . ---(.)--

„Tydzień” (Piotrków) nr 25 z 7 (19) czerwca 1898 r., s. 2.